№ 38. Warszawa, dnia 7 (19) Września 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM LLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Od Redakcyi.

Przy kończącym się trzecim kwartale r. b. upraszamy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnej na Tygodnik Mód i Powieści na dwa następne kwartały, i to najlepiej wprost do Redakcyi pod adresem poniżej wskazanym. Jest-to bowiem najpewniejsza droga, aby pismo nasze w przesyłce dalszej zwłoki nie doznało. Warunki prenumeraty pozostają też same, a mianowicie:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**
na Prowincyi i w Cesarstwie:
Kwartalnie . . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . . rs. 5 — —

Z powieści oryginalnych będziemy drukować prace pani E: Orzeszkowej, J. I. Kraszewskiego i innych naszych pisarzy.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci, w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Otóż jestem uspokojoną, — pomyślała, — mój orzeł ma zawsze swoją nitkę u szponów. Czy mi się zdaje, lecz jakbym słyszała obcy głos w przedpokoju, dodała zaniepokojona.

— To głos mego zwierzchnika, — odrzekł Henryk wstając. — Czy jedziesz dziś wieczór Anno?

— Tak, dzis wieczorem, jeżeli nie zechcesz dłużej mnie przy sobie zatrzymać?

— Lepiej skończyć odrazu, mieszkanie moje przygotowane u Pana Drassart i zapewne przyszedł, ażeby kazać zabrać moje rzeczy. Ułożenie ich niewiele czasu zajmie.

— Wszystko już zrobione Henryku, zostaje ci tylko zamknąć twój kufer.

— Najpierw swoim zwyczajem, o mnie pomyślałaś droga Anno. Ale pójdę dowiedzieć się, czego chce odemnie pan Drassart.

Wyszedł i wrsił wkrótce z Mefistofilem którego podziwienie było niemałe widząc Annę tak spokojną i poważną, jak zwykle.

— Chciałem zabrać ciebie na obiad do Brebant kochany Henryku, odezwał się on z lekkim odcieniem zakłopotania. — Bardzo było ważnem, abyś tam spotkał się z Ryszardem Waston, który dziś wieczór do Manchesteru wyjeżdża.

— Niepodobna, odpowiedział Henryk.

— Dlaczegoż niepodobna, — zapytała Anna.

— Dlatego, że ten ostatni wieczór chcę z tobą przepędzić.

—Jednakże idź na ten obiad—powiedziała Anna—i wracaj jeżeli możesz.

— A ty?

— O! ja, zawsze sobie dam radę, wszak dobrze wiesz o tem. Idź więc, prosze cię o to.

— Czy idziesz Henryku? — zapytał Mefistofil, zdumiony zimną krwią Anny.

— Pod warunkiem, że po obiedzie pozwolicie mi wrócić.

— Jak najchętniej.

— Do widzenia Anno —powiedział Henryk ściskając ją za rękę.

— Do widzenia Henryku — odrzekła Anna — zimny oddając ukłon Mefistofilowi.

Gdy obaj panowie wyszli, Anna usiadła do biurka i tych parę słów skreśliła:

Drogi mój Henryku!

„Wyjeżdżam, lecz nie do Quimperlé. Powietrze którem oddychasz potrzebne mi jest do zycia. Jeżeli więc boleść cię jaka dotknie, lub według twej uroczystej obietnicy będziesz mi miał co ważnego do udzielenia, pisz do panny Darganek u PP: Bihannic, ulica Cuvier, ja będę tam.

„Twoja za życia i po śmierci
kochająca siostra, Anna"

To napisawszy, Anna włożyła kartkę w kopertę, podpisała i umieściła w najwidoczniejszem miejscu, potem kazała Maï przyprowadzić powóz dość obszerny, aby mógł wszystkie rzeczy zabrać. Przenosimy niewiele czasu zabrały.

XVI.

OAZA.

Od przyjazdu swego do Paryża, Maïa oprócz Bulwarów des Italiens nigdzie nie stąpiła nogą, to też cała jej podróż była jednym ciągiem wykrzykników, mających tę dobrą stronę, że odrywała Annę od jej smutnych myśli.

— Oh! Ależ to miasto końca nie ma — mówiwiła ona.—Wszystkie domy w Quimperlé, jedne za drugiemi umieszczone nie utworzyłyby jeszcze jednej z tych ulic... lecz gdzież są dzwonnice, proszę panienki?... Tyle domów a żadnego kościoła. To nic dziwnego, że ci Paryżanie tacy niedobrzy. Oh! Otóż nareszcie jeden, czyż to kościół, proszę pani? Ten kraj taki śmieszny, że nigdy nie można wiedzieć, czy się rzecz jaka własnem imieniem nazywa.

Powóz przejechał był rynek de la Croix - Rouge i jechał ulicą Vieux-Colombier, z której się widzi przepyszne wieże Kościoła Świętego Sulpiciusza.

— Tak, to jest kościół — odpowiedziała Anna — i jeden z najpiękniejszych w Paryżu; przypatrz mu się dobrze, Maïo.

Maïa nie omieszkała tego uczynić i aż okno otworzyła, aby się lepiej przypatrzyć.

— Jakież to wszystko piękne! — zawołała — drzewa nędzne; ale fontanna! ah! patrz pani na fontannę... biskup jakiś i dwa wielkie białe potwory... Jakie zwierzęta! mój Boże! jakie zwierzęta!

— To lwy —objaśniła Anna.

— A! więc to lwy. A te kolumny takie wysokie! A ten kościół taki wielki! Jak mi pani pozwoli to wrócę tu kiedyś zobaczyć, jak tam Pan Bóg jest umieszczony.

— Bardzo chętnie.

— W Paryżu niedużo kościołów,—prawiła dalej Maïa—lecz za to jakież one piękne! Może to ja tylko tak myślę, ale zdaje mi się, że jeżeli Pan Bóg woli szczerą modlitwę jak piękną kolumnę, to nasze biedne kościołki warte są pysznych gmachów paryzkich.

— I ja tak sądzę, — odrzekła Anna, nie mogąc się wstrzymać od uśmiechu.

— I pani tak myśli, nie prowdaż? Jakież to znowu brzydkie ulice? To już nie nasz piękny bulwar. To ulica des *Quatre-Vents* i u nas jest karczma tego imienia.... Pod górę idziemy, to zabawne, że Paryż tak równy jak moja dłoń, a może tę górę umyślnie tu zrobili? O! jakiś piękny ogród, a jakie domy ogromne!... a ta okrągła dzwonnica, co mi przypomina nasz kościół Świętego-Krzyża?

— Panteon, — powiedziała Anna.

Był-to rzeczywiście Panteon zaciśnięty między dwoma rzędami domów ulicy *Soufflot*, które się przed nim niezgrabnie roztaczają jak skrzydła parawana.

Na placu, Maïa mająca wrodzony pociąg do piękna w architekturze, zachwycała się Panteonem wznoszącym się poważnie i smutnie wśród tej ludnej części miasta. i robiącym trochę wrażenie magnata żebrakami otoczonego.

— Paryż rzeczywiście piękny, muszę to przyznać— ciągnęła dalej Maïa, podczas gdy przejeżdżali plac Carré Saint Genevieve...—Otóż i znowu kościół, mamy teraz szczęście.... Ah! pani, ten nie ma tyle kolumn jak inne, ale jaki piękny! jakiż on piękny! czarny, stary, a te wieżyczki, to jak koronka prawdziwa! prawie taki, jak w naszym kraju. Jak się on nazywa proszę pani?

— Saint Etienne du Mont.

— Dziękuję pani, będę pamiętała. Takie na mnie zrobił wrażenie, jakbym mój kraj obaczyła! Zawsze nie jest-to to samo, co nasz Saint Michel, albo nasz Saint-Correntin w Quimperlé, ale mi oba przypomniał.

A to znowu ulica przypominająca naszą główną ulicę w Quimperlé i niby także tak samo stroma. Zdaje mi się że nasze konie dobre mają nogi. Zabawnie tak zjeżdżać w dół, przywodzi mi to na myśl nasze uliczki. O! ulica *Świętej Genowefy*... Widać, że Paryżanie z ulic przynajmniej świętych nie wypędzili. Jakie śmieszne sklepy! a szyldy?... Patrz pani... *Pod ssącem cielęciem*, zdaje mi się że biedne stworzenie nie musi mieć dobrego mleka! a ten znowu: *Pod Świętym Kryspinem!* Co znaczy ten piękny anioł przy tym starym szewcu. Czy to jest może Patron szewców?

— Tak Maïo, byli święci w każdem powołaniu.

— Jesteśmy już na dole a mamy jeszcze takie wielkie ulice przed sobą.

— Bulwar Saint-Germain.

— Co tu domów! co sklepów! wolę patrzeć na te małe domki, niż na te piękne bulwarowe pałace, na którebym chętnie plunęła; a te sklepy pełne beczek! wszystek jabłecznik robiony w Quimperlé pomieściłby się tutaj. Patrz pani, — ot tu na prawo, za tą kratą.

— Mój Boże, jak ty dużo mówisz, — odezwała się nareszcie Anna, zmęczona jej paplaniem, — kościoły, ulice, zajmują mnie wprawdzie, lecz składem win zachwycong być nie mogę.

Uwaga poskutkowała, Maïa ani słowa nie przemówiła w ciągu dalszej drogi.

Powóz opuścił nadbrzeże Ś-go Bernarda a wjechał w cichą, smutną ulicę, z jednej tylko strony zabudowaną rzędem domów zakurzonych, których widok czynił wrażenie pustki i opuszczenia.

— Pani, to gorzej jak w Quimperlé, — odezwała się Maïa, — nawet kota nie widać na ulicy.

Tutaj nie będziesz się przynajmniej skarżała na turkot powozów czy to w dzień czy w nocy, — odpowiedziała Anna, wychylając się przez okno i dając rozkaz zatrzymania się.

— Czy już przyjechałyśmy? — zapytała Maïa ze zdziwieniem?

— Tak, tu wysiądziemy.

Maïa spojrzała na wielki szary dom o żelaznych kratach i nierównych oknach, przed którym powóz się zatrzymał.

— To nie nasz bulwar — powiedziała.

Lecz prędko dodała wysiadając za Anną.

— Wolę tu jednakże... tu trochę niby jak u nas.

Anna uchyliła małe drzwiczki w murze wybite, i weszła na wązki, brukowany dziedziniec rozciągający się między dwoma szeregami budynków smutnego pozoru z mnóstwem wystających kominów, i pokrytych rosnącym wszędzie po murach bluszczem. Dziedziniec ten kończył się kamienną arkadą. Pod tą arkadą były znowu drzwi, Anna je otworzyła a okrzyk radości wyrwał się z piersi Maïj.

Nie było już domów, arkad, drzwi, balkonów i cegieł, tylko prześliczne trawniki, przepyszne drzewa, niebo czyste i błękitne, i ten szmer tajemniczy, ta woń przejmująca, wydobywająca się z łona przyrody.

— To jest Jardin des Plantes—powiedziała Anna z uśmiechem.

— Czyż tu mieszkać będziemy?—zapytała zachwycona Maïa.

— Niestety nie, lecz w każdym razie niedaleko i ten ogród będzie naszym ogrodem,

To mówiąc, Anna zwróciła się ku staremu domowi, którego ganek okryty był jaśminem a reszta bluszczem tak jak i inne mury.

Weszła po kilku schodach na ganek prowadzący do drzwi głównych i zadzwoniła.

Mężczyzna poważnej i chorowitej powierzchowności, z hygienicznemi okularami na oczach, drzwi jej otworzył.

— Panowie Bibannic czy są u siebie? — zapytała Anna.

— Wyszli, — odpowiedział schorzały staruszek, Ukłonił się i miał już drzwi zamknąć, gdy pomimo swego osłabionego wzroku, dostrzegł smutek, z jakim Anna tę wiadomość przyjęła, znowu więc drzwi otworzył.

— Może pani jesteś jedną z klientek pana Karola? — zapytał uprzejmie.

— Nie panie — jestem jego siostrzenicą.

— Czy interes jest ważny?

— Bardzo ważny.

— Zechciej więc pani udać się pod wielki cedr, i poszukać pana Filipa w tamtych alejach, tam on zwykle przebywa i tam polecił mi odsyłać gości z ważnemi rzeczywiście interesami przybywających. Pani zna wielki cedr, cedr p. de Jussieu?

— Znam go, lecz może nie potrafię go znaleźć.

Staruszek postąpił na próg domu, podniósł okulary, a wpatrując się małemi, drżącemi oczkami, wyciągnął rękę przed siebie.

— Oto on — powiedział — wprost przed panią.

Anna się odwróciła i zaraz odróżniła po nad amfiteatrem zieloności, wspaniały szczyt cedru, osłaniający jakby opiekuńczym skrzydłem otaczające go drzewa.

Podziękowawszy staruszkowi, odeszła wraz z Maïą, szukając wskazanego cedru, i wkrótce ujrzała blisko niego pana Filipa, przypatrującego się z zachwytem nowemu jakiemuś drzewku świeżo zasadzonemu.

Uczony, zatopiony w swem badaniu, nie widział jej i nie usłyszał jej powitania, musiała aż Maïa dość niecierpliwa z natury, dotknąć jego ramienia, aby się ku nim zwrócić raczył.

— Moja siostrzenica Anna! — odezwał się z przyjaznym uśmiechem.—To prawdziwe dla mnie szczęście, widzieć gołąbkę z Karnoët pod naszemi cedrami. Z twojej karteczki sądząc, musisz mieć ważne powody do odwiedzenia starych pustelników?

— Tak — odrzekła Anna — udaje się pod ich opiekę.

Jeszcze słodszy uśmiech od tego którym ją powitał, był niemą odpowiedzią na te słowa.

— Czy nie zechcesz usiąść na tej ławce? — zapytał pan Filip. — Jak widzisz o tej godzinie nie ma prawie spacerujących.

Anna usiadła na wskazanej sobie ławeczce, on przy niej zajął miejsce, trzymając w ręku jakąś ciekawą gałązkę, a Maïa odeszła o kilka kroków, dla przypatrzenia się zgrabnej antylopie, bawiącej się wesoło pa za żelazną kratą.

Opowiadanie Anny, krótkie i jasne, uwiadomiło pana Filipa o wszystkich dotyczących ją wypadkach, jako też o ostatniem przejściu między nią a bratem, staruszek zaś obracając w palcach gałązkę. żadnego w ciągu całego opowiadania zdziwienia nie okazywał.

Widział on Henryka dwa razy tylko od jego przyjazdu do Paryża, i zrozumiał, że daje się unosić prądowi czasu.

Obecnie idzie tylko o wynalezienie ci klatki, moja biedna gołąbko, zabłąkana w tem gnieździe drapieżnych sępów, co go zwą Paryżem, — rzekł on po chwili, — lecz otóż i brat Karol idzie nam na pomoc. Pozwól, że pójdę podać mu myśl, która właśnie do głowy mi przyszła.

I dotknął się gałązką swego pięknego, spokojnego czoła.

Po tych słowach, wstał i udał się na spotkanie brata, obaj poczęli chodzić wzdłuż i wszerz alei, jeden mówiąc drugi słuchając, a tak do siebie byli podobni, idąc jeden przy drugim z głowami pospuszczanemi i rękoma skrzyżowanemi na plecach, że przechodnie oglądali się zdziwieni myśląc, że im się w oczach dwoi.

Z kwandrans trwała rozmowa, poczem razem do Anny wrócili.

— Brat Karol ma parę mieszkań na widoku w sąsiedztwie,—powiedział brat Filip,—i gotów jest towarzyszyć ci. Czy zatrzymałaś powóz.

— Tak jest — odpowiedziała Anna — wszak musiemy i kufry nasze zabrać.

— Masz słuszność. Do widzenia droga gołąbko.

Anna, brat Karol i Maïa wsiedli do powozu, a brat

Karol dorożkarzowi dał adres domu przy ulicy Lacépède.

Zajechali przed dużą i wesołą kamienicę, pan Karol wysiadł, lecz wkrótce wrócił oznajmiając Annie, że mieszkanie, które miał zamiar nająć tu dla niej od od dziś rana już było zajęte.

Dał nowy adres i konie ruszyły.

— Bardzo żałuję tego mieszkania — powiedział do młodej dziewczyny — gdyż znam jego właściciela, przyjmuje on tylko ludzi przyzwoitych. Mówiłem o tem mieszkaniu z Filipem, od kiedy zaczęliśmy przewidywać rozstanie twoje z bratem. To właśnie było czego ci potrzeba i wątpię, czy potrafimy dobrze cię umieścić w naszym odludnym zakątku.

Przykra ta przepowiednia sprawdzić się miała.

Ani jedno z mieszkań, które zwiedzali nie odpowiadało potrzebom Anny, jedne były za drogie, drugie nie zapewniały spokoju i bezpieczeństwa dla młodej jak ona osoby.

— Gdzież teraz jedziemy, wuju? — zapytała Anna pana Karola — gdy ten jej rękę podawał wsadzając do powozu po obejrzeniu jednego z tych wielkich ulów paryzkich, w którym napróżno szukali mieszkania.

Uśmiechnął się odpowiadając: A gdybym też ciebie odwiózł na ulicę Cuvier.

— Więc są na tej ulicy mieszkania umeblowane, mój wuju? — zapytała Anna.

— Jest jedno, moje dziecko, wprawdzie źle umeblowane, lecz zawsze gotowe na twoje rozkazy, a znajduje się u nas.

— Jakto wuju? — zawołała Anna.

— Tak, u nas. Trudność znalezienia przyzwoitego mieszkania, przewidzianą była przez brata Filipa i uradziliśmy, że gdy się nic lepszego nic znajdzie, to do nas ciebie zaprosimy.

Jakże jesteś dobry, drogi wuju, — odpowiedziała Anna wzruszona, — ależ ja tego przyjąć nie mogę, będę wam zawadą, przeszkodą.

— Ty nam przeszkodą! Obie z Maią możecie łatwo, jeżeli nie dobrze, pomieścić się w naszym starym domu, i nie widzę, gdzieby ci mogło być lepiej, moja gołąbko droga. Czy ci się ten projekt podoba?

— Bardzo mój wuju, bez wątpienia że bardzo, ale ja dla was ciężarem będę.

— W żadnym wypadku, tego bądź pewną. Zresztą osądzisz sama.

Kazał wrócić na ulicę Cuvier i usiadł przy Annie nie umiejącej znaleźć słów dla wyrażenia mu swej wdzięczności. Na progu zielonego domku zastali pana Filipa, jakby ich oczekującego. Kufry Anny natychmiast wniesiono, odprawiła fiakra i poszła za swemi wujami, pragnącemi jej dowieść, że nie będzie im w niczem zawadzać. Mieszkanie było rzeczywiście obszerne i mnóstwo zawierało mieszkańców.

Anna kilku z nich na schodach spotkała.

Najprzód ukazał się ten sam chorowity staruszek w niebieskich okularach, a co dziwniejszego, że i troje dzieci w takich samych okularach, mimo niej się przesunęło.

— To dawny organista z rodziną, — odezwał się z uwielbienia godnem zakłopotaniem brat Filip, ręką witając każde przechodzące okulary, — biedak ten, dziwną jakąś chorobą ócz został dotknięty i jego dzieci także, a żona niezupełnie zdrowa na umyśle, wyobraziła sobie że i ona na oczy jest cierpiącą. Brat Karol ma nadzieję wyleczyć i ojca i dzieci, dla tego postarał się mieć ich wszystkich pod ręką.

Trzy razy ta sama historyja z lekkiemi odmianami Annie opowiedzianą została.

W jednym pokoiku mieszkała biedna nawrócona Angielka, dla chleba nuty przepisująca; w innem znowu stary jakiś oficer wesoło ostatnie dnie życia swego przepędzał będąc przedtem zagrożony smutną śmiercią w szpitalu.

Anna uśmiechała się, słuchając zawikłanego opowiadania swych zacnych wujów, którzy opisując swych lokatorów, starali się ukryć swoją rzadką wspaniałomyślność i miłosierdzie prawdziwie ewangeliczne.

Urządzenie mieszkania dla Anny było trochę utrudnionem, z powodu że lokatorowie nadużywając wielkiej dobroci swych opiekunów, wkroczyli po za obręb praw sobie nadanych. Obszerny pokój o którym bracia sądzili że jest próżnym, znalazł się założony rzeczami rodziny okularowej, inny znowu obok będący, a mogący służyć za kuchnię, użyty był przez Angielkę zamiast łazienki, jeden tylko stary oficer nie zwiększył swych posiadłości, które barakami swemi nazywał.

Nie obeszło się więc bez gadania i umów, które sprowadziły wszystkich lokatorów braci, i Anna choć tak smutna, nie mogła się nie uśmiechnąć, na widok tych różnorodnych biednych szczątków społeczeństwa, które znalazły przytułek u tych dwóch prawdziwych chrześcian.

Z jednej i z drugiej strony poczyniono małe ustępstwa, i urządzono wygodne mieszkanie które do rozporządzenia Anny zostało oddane.

XVII.

M E F I S T O F I L.

Piękny ogród botaniczny nazwę *Jardin des Plantes*, noszący, w dnie powszednie zwykle odwiedzany przez spacerujących samotników, odludków, turystów, ciekawie oglądających liczne i rzadkie zoologiczne lub botaniczne okazy; w niedzielę zaś i święta, zalega go tłum, złożony głównie z robotników i dzieci tej ludnej dzielnicy miasta, której on środek zajmuje. W dniu tym nie będącym dniem cudzoziemców i Paryżan z tamtej strony rzeki, tłum ów dość skromnie wygląda. Nic więc dziwnego, że ciekawie otoczono elegancki powóz, zatrzymujący się przy głównej bramie ogrodu. P. Marcelli Drassart jadący konno za tym powozem, groźnym i wyniosłym ruchem rozpędził zebrane dzieci i zsiadł z konia. Lokaj w pysznej liberyi ujął konia za cugle, a pan Drassart podszedł podać rękę bratowej wysiadającej z powozu, zawsze bardzo otyłej, bardzo umalowanej, bardzo znudzonej, i pannie Noémi, której ognista toaleta, podobne wrażenie uczyniła na spacerujących, co powóz na ulicznikach.

Kobiety młode, z rzadka jeszcze ośmielały się używać koloru czerwonego w ubraniu na ulicę, a jednakże ekscentryczna dziewczyna była nim cała przystrojona. Przy czarnym staniku miała rękawy jaskrawo-czerwone, purpurowa szarfa wiła się w fantastyczne arabeski, na czarnej jedwabnej tunice, krawacik tegoż koloru, okalał jej ciemną szyję, a pęk piór ognistych świecił przy czarnym kapelusiku, harmonizując z gorączkowym ogniem jej czarnych oczu.

Wchodząc w aleję, pani Drassart spojrzawszy znudzonym wzrokiem na piękne drzewa ją ocieniające, zwróciła się do pana Marcellego.

— Mój kochany Marcelli — powiedziała — co ci na myśl przyszło, przywozić nas do tego ogromnego ogrodu czyniącego na mnie wrażenie cmentarza.

— Zaraz wam to powiem — odrzekł Mefistofil — lecz idźmy, aby nie wzbudzać ciekawości uliczników.

Weszli do ciemnej i prawie samotnej bocznej alei, postąpili parę kroków, a Mefistofil zatrzymując się zwrócił na obie kobiety swój wzrok niepewny, w głębi którego widniały nieprzejrzane bezdnie cynizmu.

(*d. c. n.*)

OGRODY OWOCOWE.

PRZEZ

El. Orzeszkową.

W tym oto dworze dawny sad zasadzony na szerokim obszarze gruntu przemyślną znać ręką dziada i babki, przemienił się w las dziewiczy, kędy bystre tylko oko biegłego botanika rozgatunkować zdołałoby chaotycznie wzrastającą roślinność, domyślić się istotnej nazwy drzewa z chorych gałęzi jego, ze smutnych liści ogryzionych przez złośliwe owady, z pnia którego próchniejące części gdzie niegdzie zaledwie widnieją z pod pięknej, grubej warstwy żyjących na nim w spokoju i wygodzie grzybków, gąbek i wszelakich pasożytów. Postępujesz w jedną stronę: bujna, smukła, nad wszelką miarę shardziała pokrzywa niemiłosiernie smali ci nogi. Zwracasz się w innym kierunku: krzaki zdziczałego agrestu ujmują suknie twe w niesforne ramiona; po przez ciernie i osty, dzikie kępy i podstępne kretowiska dastajesz się na koniec do owocowego drzewa. Gałęzie połamane, wykrzywione uderzają cię po głowie, zrywasz z nich pierwszy lepszy owoc, niesiesz go do ust i w samo południe wszystkie gwiazdy niebieskie iskrzą ci się w oczach. Twardy, drzewiasty, kwaśny do niepodobieństwa, choć wiesz dobrze i z natury gatunku swego (którego domyślasz się mniej więcej) powinien być soczystym i słodkim. Zdziczał nieborak rodzic jego w zaniedbaniu srogiem, otaczający go zaś przedwcześnie staruszkowie z nędzy wielkiej zupełnie już bezpłodnymi się stali. Może istnieją kędy przyszli ich zastępcy. Z po za dzikiej gąszczy przegląda przestrzeń jakaś obszerna a pusta. Młody-to sad zapewne z rzędami smukłych płonek; Gdzie tam! to pastwisko! Po gruncie nierównym, zdeptanym, to i owdzie ozdobionym jakimś widmem drzewa, jakimś projektem klombu i ścieżyny, igrają swobodnie płowe cielątka, poważna krowa przeżuwa flegmatycznie skąpą, zżółkłą trawę, jakiś koń ze spętanemi nogami usiłuje z sąsiedniej łąki wskoczyć do pańskiego ogrodu przez...... płot rozwalony..... Ogród-to należący do tych, których nigdy w domu niema. Gdzieindziej bywa inaczej. Nie las już dziewiczy przedstawia się naszemu wzrokowi, ale pustynia Sahary. Tu już nic nie ma wcale: ani zdrowych drzew ani spróchniałych. Jakieś piaski rozłożyste a śród nich jakieś chude krzaczki, gdzieniegdzie naśladowanie alei lub pretensya do *gazonu*, na klombach pokrojonych w pierniczki odrobina ubożuchnego kwiecia, po za tem, dokoła, kosztowne i wytworne sztachety o murowanych słupach, z których tynk kawałami opada, i — nic więcej. Ogród-to tych, którzy pragną wydać się światu trochę panami.

Gdzieindziej — wielka parada. Aleje rzeczywiste, bardzo piękne, angielszczyzna zdobna w krzewy zagraniczne i labirynt zygzakowaty ścieżek, kwitnące oleandry i pomarańcze w olbrzymich donicach przed gankiem domu, u wstępu do altany coś nakształt posągu, dalej jeszcze kawałek niby zwierzyńca z jedną sarną i dwóma królikami: po owoce (dla gości) posełа się do najbliższego miasteczka albo (kiedy idzie o bal formalny) wypisuje się z odległej stolicy. Ogrody-to ludzi, którzy usiłują przedstawiać się światu panami całą gębą. Wprzódy jednak nim sformułujemy oskarżenie, sprawdźmy *corpus delicti*.

Czy natura gruntu i klimatu naszego pozwala na uprawianie ogrodów owocowych szerokie i skuteczne? Czy uprawianie to gdyby prowadzonem było ze staranością i postępem, mogłoby stanowić pożyteczną gałęź produkcyi krajowej? Jakie szkody zaniedbanie gałęzi tej przynosi bogactwu i zdrowiu publiczne-

mu, a także dorze zrozumianej i wielce pożądnej piękności naszej ziemi? Kogo mianowicie i przedewszystkiem o zaniedbanie to i wynikające zeń szkody obwiniać należy?

Niedaleka przeszłość i dziś jeszcze istniejące gdzie niegdzie, rzadkie okazy z powodzeniem uprawianych sadów, udzielają na zapytanie pierwsze niewątpliwie twierdzącą odpowiedź. Kraj nasz nie jest zapewne tym, wktórym: „cytryny i pomarańcze kwitną,” ale któż nie wie, że rodziły u nas niegdyś w obfitości wielkiej wyborne i rozliczne gatunki jabłek, gruszek śliw, że przy staranności i umiejętności wzięcia się do rzeczy dojrzewać mogą, w niektórych szczególniej okolicach, morele nawet i brzoskwinie, że pewne rodzaje jagód, jak np. poziomki, maliny, porzeczki są już w zupełności krajowemi naszemi płodami i wzrastając dziko po łąkach i lasach potrzebują tylko przesadzenia na grunt odpowiedni i wielce łatwej, niekłopotliwej uprawy, aby przerodzić się w gatunki udoskonalone, bujne i niezmiernie rodzajne.

Powiedziałam wyżej że, owoce rodziły się u nas niegdyś ma to więc znaczyć, że dziś przestały się one rodzić? Tak jest w istocie. Powyżej przedstawione obrazy ogrodów wiejskich nie są bynajmniej wytworem fantazyi ale odtworzeniem w rzeczywistości istniejących faktów. Dawne ogrody wskutek czasu i zaniedbania niszczeją i jałowieją, nowe nie powstają, lub co najwięcej powstają w tak małej mierze iż wsetnej nawet części nie wystarczają ani potrzebom wewnętrznym kraju ani, dzięki ułatwiającym przewóz kolejom żelaznym, świeżo powstałej gałęzi wywozowego handlu.

O ile ogrodowa produkcya u nas nie wystarcza wewnętrznym potrzebom każdej prowincyi w szczególności i całego kraju w ogóle, przekonać się o tem może każdy, kto choćby raz rzuci okiem na owocowe rynki i sklepy istniejące w mniejszych i większych prowincyonalnych miastach naszych. Znać zaraz, że wystawiane tam na okaz publiczny płody nie z Hesperyjskich bynajmniej ogrodów pochodzą. Odrobina jabłuszek drobnych, plamistych, o miazdze drzewiastej i kilku kroplach kwaśnego jak ocet soku, trochę gruszek z kształtu, barwy i smaku podobnych do kartofli lub karłowatej marchwi, nieco śliwek zupełnie już do niczego nie podobnych, oto wszystko co mieszkańcom miast naszych przysełają, słynne niegdyś i obfite w plony ogrody wiejskie.

Co więcej! skąpe te nawet i odrażające imitacye prawdziwych owoców drożeją z każdym rokiem, w sposób przenoszący o wiele wzrost ceny, jakkolwiek dość już szybki, innych produktów. To też dla mieszkańca miast nie dość bogatego, aby mógł sprowadzać owoce ze stolic albo nabywać je w sklepach hurtowych, również przez stolice w towar po większej części zagraniczny zaopatrywanych, owoc tak złego nawet gatunku stał się rzadko możliwym zbytkiem, dobry a przynajmniej znośny, owocem wzupełności zakazanym. Pomijam już sprowadzoną niedostatkiem tym utratę przyjemności, które jednak nie do zbytków ale do potrzeb najprostszego dobrobytu, z zupełnie spokojnem sunieniem, zaliczonemi być mogą. Zatrzymam się tylko chwilę nad rzeczą ważniejszą stokroć od wszelkich przyjemności, nad wpływem, jaki ogołocenie codziennych stołów z ogrodowego owocu, wywrzeć musi na zdrowie publiczne, na zdrowie szczególniej ludności wiejskich, Bóg widzi, o ile i bez tego biednych w tym względzie i ze wszech miar zagrożonych.

Pierwsza lepsza książka popularna o fizyologii lub hygienie powie nam, że dla skutecznego i prawidłowego odżywiania organizmu człowieka potrzeba nie tylko pokarmów, ale jeszcze i urozmaicenia ich odpowiadającego rozmaitości zachodzącej w chemicznych pierwiastkach ludzkiego ciała. Mięso dostarcza ciału materyi białkowatych z jakich przeważnie składają się muskuły tkanki żył i nerwów, chleb i jarzyny które jak np. kartofle mieszczą w sobie przeważającą ilość mączki służą do wytwarzania tłuszczu owoce odtwarzają cukier, tracony przez organizm w skutek przetrawiania się materyi a wchodzący w skład płynów niezbędnie organizmowi potrzebnych, jak żółć soki, żołądkowe i t. d. Brak równowagi w przybywaniu do ciała rozlicznych materyi tych wmiarę ich ubywania, nadweręża mechanizm organizmu, zaprowadza w nim niedostatki i zboczenia, które oznajmiając się zrazu mało znaczącemi dolegliwościami, w ostatecznym wyniku swym sprowadzają upadki na siłach i ważne choroby. Istnieją także pomiędzy ogółem liczne słabości chroniczne odziedziczane lub z pewnego sposobu życia pochodzące, które same przez się niezbyt dolegliwe, bynajmniej niebezpieczne, w skutek niestosownego odżywiania organizmu przeradzają się w przywary cielesne dręczące i groźne. Wszyscy lekarze dobrej wiary, lekarze– hygieniści szczególniej, w pismach swych i udzielanych radach dowodzić nie przestają, że odpowiednie naturze i stanowi organizmu użycie i urozmaicenie pokarmu posłużyłoby za najdzielniejszy środek zapobiegający powstaniu choroby lub ją usuwający tam, gdzie środki terapeutyczne najenergiczniej użyte niczemu zapobiedz i nic usunąć nie są już w stanie.

Choroby ludzkie i towarzyszące im fizyczne cierpienia nie są zapewne względem poetycznym i rozweselającym, dla was szczególniej, o piękne czytelniczki moje, których wyanielone postacie i wyobraźnie nigdy oko woko nie stanęły przed widokiem nędz waszych współbraci, których wstydliwe źrenice odwracają się z dziewiczem zmięszaniem od wszystkiego, co nie jest kwiatem, gwiazdą, strojną suknią lub kokiem prześlicznie splecionym, których choroby nawet, Bog sam wie przecież jak liczne, mają zawsze w sobie coś z uroku zupełnej o przyczynach ich nieświadomości, coś z wdzięku melancholijnie przyćmionego pokoju i stosownie do patologicznych okoliczności w jakich zostają osoby wasze, wygarnirowanego szlafroczka. I w ogólności zresztą, choroby ludzkie nie stanowią bynajmniej poetycznego i rozweselającego widoku, ale tem mniej właśnie pomijać je należy milczeniem i wzgardliwą nieuwagą, im więcej prozaiczne i smutne są one same w sobie, im więcej smutne i zniżające poziom publiczny są wpływy ich i wyniki. Zdrowie ludności miejskich bezsprzecznie cierpi i coraz mocniej cierpieć będzie przez brak jednego z najważniejszych pokarmów odżywiających. Po wsiach brak ten istnieje także, ale w mniejszej mierze i częściowo przynajmniej wynagradza się innemi sprzyjającemi zdrowiu warunkami życia jak: świeże powietrze, ruch fizyczny, obszerne stosuukowo mieszkania i t. d. Ale w miastach, w tych rezerwoarach zabójczych wyziewów, w tych sztucznych kotlinach, w których o odrobinę powietrza o piędź przestrzeni pierś z piersią stopa ze stopą walczyć się zdaje, w tem nagromadzeniu stanów i sposobów życia najróżniejszego rodzaju, istnieje tyle żywiołów podkopujących zdrowie publiczne, a tak mało takich któreby ochraniały je i wzmacniały że każdy, najlżejszy choćby niedostatek staje się tu stokroć groźniejszym, niż gdzie indziej, a nie zapobiegać mu jest to ciężko grzeszyć przeciwko bardzo ważnym interesom ogólnym. Jeżeli uwagi powyższe wydadzą się wam, czytelniczki, przesadzonemi nieco, zbyt doniosłemi względnie do przedmiotu, który je wywołał, zapytajcie o słuszność ich każdego rozsądnego lekarza, każdego zresztą ukształconego i o publiczne dobro dbającego człowieka.

d. c. n.

KORRESPONDENCYA ZE LWOWA.

Lwów, *26 Sierpnia 1874 r.*

(Ciąg dalszy).

W połowie Sierpnia odbył się we Lwowie wiec miejski t. j. zjazd burmistrzów i reprezentantów miast i miasteczek galicyjskich. Pomysł był bardzo szczęśliwy więc liczba uczestników wyglądała wcale pokaźnie, a obrady toczyły się pomyślnie i budziły powszechne zajęcie. Celem wiecu było porozumienie się w wielu żywotnych sprawach, które zarówno interesują nasze główne, drugo-i trzeciorzędne miasta. Na czele spraw takich stało pomnożenie liczby posłów sejmowych z kuryi miejskich, o co od początku epoki konstytucyjnej nieustannie upomina się kraj cały za pomocą w szystkich organów swoich. Liczba posłów z miast bowiem jest jaskrawo nieodpowiednią stosunkom: i potrzebom krajowym, z któremi nie liczył się rząd wcale, gdy w chwili przejścia z systemu absolutnego do konstytucyjnego nadał Galicyi statut i ordynacyę wyborczą. Wtedy zwracano głównie na to uwagę, ażeby żywioł miejski miał jak najmniejszą przewagę chociażby to pociągnąć miało za sobą zaludnienie sejmowej sali ustawodawcami ze stanu włościańskiego nie umiejącymi ani czytać ani pisać. Stało się tak istotnie. Wbrew wszelkim potrzebom i stosunkom kraju, wbrew wymaganiom ciała ustawodawczego, wbrew prawidłom proporcyonalności a nawet wbrew zasadzie przyjętej w statutach i ordynacyach wyborczych innych krajów koronnych, powołano do sejmu galicyjskiego imponującą liczbę posłów z kuryi włościańskich, a natomiast miastom, głównej siedzibie inteligencyi, wyznaczono nader skromną reprezentacyę. Sejm upomniał się już raz o krzywdę wyrządzoną miastom i uchwalił w osobnej ustawie stosowną zmianę ordynacyi wyborczej. Ale ustawa ta z powodów formalnych nie uzyskała sankcyi cesarskiej i dotąd nie mogła być ponowioną. Zmiana bowiem ordynacyi wyborczej wymaga obecności $^3/_4$ członków sejmu i $^2/_3$ głosów z liczby obecnych. Dotąd zawsze tak się zdarzało, że gdy wypadło ponowić ustawę, posłowie jej przychylni nie pojawili się w całkowitym komplecie a garstka włościan obawiająca się z niewiadomych przyczyn wzmocnienia żywiołu miejskiego w sejmie, opuszczała salę i psuła tem komplet w statucie wskazany. Nie potrzeba dodawać, że wiec miejski usilnie upomniał się o przyznanie miastom galicyjskim liczniejszej reprezentacyi i że sprawa ta prawdopodobnie wkrótce ostatecznie i pomyślnie będzie załatwioną. Ale sejm musi się pospieszyć z uchwaleniem projektu ustawy, bo jeżeli tego nie dokona na najbliższej albo następnej sesyi, to później już może nie będzie mógł wykonać swoich dobrych chęci. W r. 1875 bowiem skończy się obecne sześciolecie sejmowe a pozysze wybory mogą łatwo zmienić w sposób niekorzystny stosunek głosów przychylnych i nieprzychylnych sprawie.

Podnieśliśmy ten przedmiot obrad wiecu trochę obszerniej, bo jestto sprawa obchodząca kraj cały w wysokim stopniu. O innych przedmiotach porządku dziennego wspomnimy tylko krótko, bo tyczą się one wyłącznie stosunków miast galicyjskich i po za Galicyą nie mogą obudzać takiego zajęcia, jak sprawa powyżej przedstawiona. Porządek dzienny wiecu miejskiego obejmował kilkanaście pytań zasadniczych co do zarządu majątków gminnych, organizacyi gmin wiejskich, spraw szkolnych, przemysłowych, rękodzielniczych, kredytowych i t. d. Nad wszystkiemi pytaniami pracowały fachowe siły, a jeżeli miasta nasze zastosują się do przyjętych wniosków, wkrótce doznają pomyślnych skutków. Sprawozdania fachowe o każdem pytaniu stanowią bardzo pouczające

artykuły i składają się na pożyteczną całość, która wraz z stenograficznemi zapiskami o toku obrad ma być wkrótce ogłoszoną w osobnej książce.

Niewszystkie przedmioty załatwiono stanowczo i w sposób taki, któryby mógł być uważany za wystarczającą dyrektywę dla wszystkich miast galicyjskich. Jedno z najważniejszych pytań: w jaki sposób ma być prowadzone gospodarstwo co do gminnych majątków ziemskich, pozostało nierozwiązanem, bo postawiono dużo wniosków i projektów, a żaden nie otrzymał stanowczej większości głosów. A przecież sprawa ta wydawała się łatwą do rozstrzygnięcia, bo nauka administracyi stanowczo oświadcza się za sprzedażą gminnych dóbr ziemskich, a dotychczasowa praktyka we wszystkich miastach naszych wykazała, że dobra ziemskie przynoszą gminom dochód bardzo mały w porównaniu z procentem, jakiby przynieść mógł kapitał odpowiadający ich wartości. Pośpiech w obradach głównie utrudnił załatwienie tej sprawy.

(d. n.)

Wspomnienia z podróży.

III.

W towarzystwie naszem podróżnem był jakiś obywatel z Podola galicyjskiego, dawny huzar w armii austryackiej, siostra jego pani rotmistrzowa jadąca do męża i wiejska kobieta już niemłoda wzięta do posługi, która oprócz swej wioski rodzinnej nic w życiu więcej nie widziała. Siedząc w wagonie drugiej klassy, patrzyła na wszystko jak na cuda z tysiąca nocy. Szybki bieg zachwycił ją, wygoda cieszyła, małe polanki zboża i ziemniaków dziwiły, a na zapytanie odpowiadała zawsze trafnie i bardzo rozsądnie. Obchodzenie się z nią tak pani jak pana, było niezmiernie przyjacielskie, nawet poufałe: kuflem wody, piwa, garstką czereśni, zapasem pieczeni, a nawet pastelkami miętowemi, dzieloną się wspólnie prawdziwie patryarchalnie; do rozmowy mieszała się często, ale i słuchać lubiła, gdyśmy mówili o rzeczach po za granice włości wybiegających. W ówczas oczy jej nagle ożywiały się, ale czasami mglił je jakby smutek lub żal, że nie zna i nie rozumie tego, coby poznać i rozumieć pragnęła.

— Cóż, radzi jesteście Maryanno z podróży, jaką odbywacie? — zapytałem raz, widząc jej niezwykłą zadumę.

— Bardzo jestem rada, ale wolałabym, aby córka moja była w mojem miejscu. Państwo chcieli ją wziąć, ale Bóg dał mi wnuczkę, musiała więc zostać w domu, a ja jej miejsce zastąpiłam. Przy takiem państwie jak pan Władysław i moja pani, byłaby obcy świat zwiedziła, przypatrzyła się różnym obyczajom, innym ludziom, innym stronom świata, ale trudno, nie zawsze tak możemy, jak chcemy. A patrzeć jest na co: u nas łany, pola, tu tylko połanki, u nas równiny że jabłka po nich toczyć można, tu wzgórza i góry że aż strach spojrzeć na nie. U nas do lasu bukowego o cztery mile trzeba jechać, tu las przy lasie, a góry pokryte drzewami, że aż chęć bierze przenieść je w nasze strony. U nas kurnych chat dosyć napotka, tu domy, jak dworki wszystkie z kominami, malutkie co prawda, ale czyste i takie jakieś wesołe, że oczy same do nich przylegają.

— A wóz parowy co nas ciągnie — zapytałem — czyście dobrze obejrzeli?

— Ej! ten znam dobrze — odrzekła — toć przecie lokomobila. Mój zięć jest palaczem przy takiej we dworze naszym, która młóci zboże i ciągnie wozy po drodze. Pan Władysław ma jeszcze kupić jedną do orania, bo choć u nas ludzi do roboty nie brakuje, ale przy maszynie wielka oszczędność i robota lepiej idzie.

— Gdzie się wam jednak lepiej podoba, czy w waszych równinach, czy w tych stronach pokrajanych wzgórzami i wyrostami leśnemi.

—Pięknie tu bardzo — odrzekła pomyśliwszy chwilkę—oczy zawsze coś widzą nowego, ale tu wszystko choć piękne ale cudze, człowiek nawet z oczami błąka się jak w lesie a u nas dla oczów nie ma nic nowego, wszystko zna, bo widzi ciągle, a przecież milsze bo swoje; bo o wszystkiem wie się wiele i wiele opowiedzieć może.

—Maryanna nasza jest wielką patryotką—odezwała się pani.—Kiedy wybieraliśmy się w drogę nie miała ochoty jechać razem z nami...

— Swoich to zawsze smutno porzucać—wtrąciła Maryanna.

— A kiedym jej powiedziała dla zachęty—mówiła dalej pani—że jedziemy w piękne bardzo strony, do Wiednia i dalej jeszcze, to odrzekła, że już tam nigdzie tak pięknie być nie może jak u nas na Podolu...

— A bo i prawda, przerwała Maryanna, tutaj cieszą się tylko oczy a u nas serce, a to więcej znaczy od oczów.

Za tę odpowiedz tak poczciwą, byłbym Maryannę uściskał, gdyby nie przyzwoitość towarzyska.

W tym samym wagonie jechał razem z nami młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, typ prawdziwy zamożnego... próżniaka. Znużony, rozgrymaszony, rozstrojony upałem i przymusową bezwładnością, siedział leżący w miękkich poduszkach, i na przemian to dłubał w zębach lub paznokciach długich jak szpony u orła, to przerzucał niedbale w przewodniku dla podróżnych, lub wreszcie drzemał, mało się mieszając do wspólnej z nami rozmowy. Widocznie nie podobało mu się towarzystwo Maryanny, która choć bardzo starannie i świeżo ubrana, ale zawsze po wiejsku. Gdyśmy ciekawie przyglądali się jakiej okolicy, panicz leżał nieruchomy poglądając po nas z pewnym rodzajem pogardy.

— Znam to wybornie, jechałem tędy przynajmniej dwadzieścia razy, odpowiadał zwykle gdyśmy opowiadali odebrane wrażenie.

— To nudna musi być dla pana podróż, odezwał się pan Władysław. Dla czegóż więc nie zmieniasz kierunku swoich wycieczek?

— Muszę corocznie być dwa razy w Wiedniu u stryja, który jest moim opiekunem. Zacny to człowiek i bardzo bogaty, ale dziwak jakich mało.

— W Wiedniu zapewne wynagrodzisz sobie nudy podróży, tyle mającym sposobności do uprzyjemnienia w nim pobytu...

— Znam je wszystkie jak na palcach—przerwał młodzieniec zakładając nogę na nogę—już mi wszystkie przejadły się.

— A od jakiego wieku—zapytałem — zacząłeś się pan z niemi zapoznawać?

— Od najmłodszego, od dziecka prawie, z niejaką dumą odrzekł młodzieniec. Rodzice corocznie zjeżdżali na zimę do Wiednia, po ich śmierci dopiero, ulegając woli stryja, siedzę na wsi...

— A! więc gospodarujesz?

— Nienawidzę gospodarstwa, jest wreszcie stary rządca i on się wszystkiem zajmuje, ja zaś poluję, odwiedzam zasiedztwa, tańczę, bawię się... ale i to mnie już nudzi.

— Książka rozumna bardzo pożytecznie wszelkie nudy usuwa...

— Tak, rozumna, ale tych tak mało, że niema nawet o czem mówić. Co jeden twierdzi, drugi zaprzecza w co jeden wierzy, inny wyszydza, a gazety dobre dla uśpienia, ale nigdy dla rozrywki lub nauki.

— To smutne pańskie życie—odezwałem się.

— Bardzo!—z westchnieniem pognębienia odrzekł młodzieniec.

— Jako lekarstwo radykalnie leczące medycy w podobnym stanie rzeczy radzą pracę.

— Być może, ale praca każda, to jak operacya bolesna; ludzkość całą myśl wytęża, aby się z pod jej przemocy uwolnić, mamże więc jej dobrowolnie poddawać się, gdy pracować dla zarobku nie potrzebuję.

— Dla społecznego dobra jest ona konieczna...

—Stary aksiomat—przerwał z uśmiechem zarozumienia młodzieniec.—Wszelkie poświęcenia to wapory z fermentu dawnych pojęć dążących do rozkładu. Dziś rachunek wszystko wyjaśnia, bo wykazuje, ile na czem zarabiam lub ile tracę. Chciałem zwiedzić Włochy, Niemcy całe, później Szwecyą, Francyą, Anglią, wreszcie Amerykę, Australią, ale ze stryjem moim dziwakiem nic nie poradzi i każe mi gwałtem być agronomem, piwowarem, owczarzem, budowniczym i inżynierem wiejskim, gdy ja o podróżach tylko marzę. Ten przymus odbiera mi nawet sen, apetyt, robi zrzedą, nudziarzem i tak czasem niecierpliwi, że życie mi brzydnie i nieraz przychodzi chęć...

— Jezus Marya!—przerwała Maryanna, żegnając się pobożnie—po coż pan wygaduje!

Młodzieniec spojrzał na nią, podniósł ramiona litościwie i uśmiechnął się. Maryanna zrozumiała to wzgardliwe poruszenie i zarumieniona od gniewu rzekła:

— Żeby pan do nas przyjechał, zdjął rękawiczki i choć z pół dnia zbierał garście, wiązał snopy, i zniósł je do sterty, toby potem zjadł bochen chleba czarnego, wypił garniec wody, spał jak kamień, a Boga chwalił jak człek prawdziwie pobożny.

Rozśmieliśmy się wszyscy szczerze z rozumnej porady Maryanny, rozśmiał się i panicz cokolwiek z goryczą i po chwili mruknął.

— Musicie mieć kobieto bardzo dobrych państwa.

— Pewno że dobrych, albo co?

— Nie cieszy mnie to—odrzekł panicz, spoglądając jakby z wymówką na pana Władysława i jego siostrę— Maryanna i to nieme spojrzenie zrozumiała, ubodzona niem przerzuciła oczami po młodzieńcu i szepnęła patrząc w okno wagonu:

— U dobrych, to i stworzeniu niememu dobrze, ale dobrych mało, a zli roją, się jak pszczoły w ulu... wszędzie ich napotka, to też na świecie więcej płaczu jak wesela, więcej narzekania jak radości. Na dłuższym przestanku panicz opuścił nas i przeniósł się do innego wagonu.

— Prześlicznie zrobił, rzekliśmy wszyscy, a Maryanna obdarzyła go tytułem bezbożnika i ladaco, powiadając, że nie będzie z niego pociechy.

—To jedna z ofiar złego wychowania—odezwał się pan Władysław.—Od najmłodszego wieku przyzwyczajany tylko do zabawy i rozrywek, pragnie ich jedynie, a wyczerpawszy wszystkie nudzi się i narzeka. Dotąd mieliśmy młodych starców przeżytych i osowiałych, dziś już dzieci znajdują się ze wszystkiemi cechami przeżycia i natarczywem domaganiem się tego, co się wyłącznie starszym należy. Dawniej, kiedym był dzieckiem, najprzyjemniejsza rozmowa z rówieśnikami była czem który z nas będzie w przyszłości. Każdy stan przez siebie obrany wychwalał i podnosił, wynajdywał w nim przymioty, jakich nie miał w rzeczywistości, przesadzał je ale zawsze wartość jego mierzył pożytkiem, jaki przynosi ogółowi. Później, kiedy zostaliśmy młodzieńcami, niedość że Odę do młodości Mickiewicza umieliśmy na pamięć, ale pragnąc przejmować się jej duchem, tworzyliśmy koło i jeden z nas stając w środku deklamował ją całą od początku do końca, i gdy przyszedł do miejsca w którym poeta mówi:

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wspólném wszystkich cele i t. d.

powtarzaliśmy za nim ściskając w ręku rękę towarzysza, i kręcili w kółko jakbyśmy rzeczywiście byli *łańcuchem opasującym ziemskie kołsko*. Dziś dzieci stany oceniają według zysków, jakie przynoszą, młodzież zaś jedynie zajęta zbieraniem wiadomości, ile kto, gdzie i wiele zarobił i jakiej do tego użył drogi. Być może że to galwanizowanie się zobopólne poetycznym urokiem słowa odrywało z wielką społeczną szkodą od rzeczywistości, ale zbyteczne ulgnięcie w niej, odrzucenie wszystkiego co nie idzie z nią w parze, stokroć jest gorszą ostatecznością. Dlatego i używanie uciech świata jak najwcześniejsze stało się ogólną żądzą dzisiejszego pokolenia, i wyciągają do nich ręce już nie same podloty i podlotki, ale dzieci dziesiecioletnie, złorzecząc na świat i ludzi gdy im co odmówionem zostanie. Choroba ta w Galicyi coraz większe przybiera rozmiary; jeden też z naszych pisarzy humorystycznych p. Barthels ułożył satyrę w której z różnemi memi dodatkami powiada;

Bardzo młodzi Staś i Mania z równie młodym Guciem,
Tak na plantach się zwierzali przed sobą z uczuciem:
Najprzód Staś:
— Nie wiesz Guciu, jak nam źle jest w domu,
Ani nam się z kim poradzić ni poskarżyć komu,
A wszyscy nas krzywdzą tylko!—Tatko z mamą kawę
Piją z rana, a my mleko... za całą zabawę
Wyprowadzą nas na planty z boną i posadzą,
Czasem tylko po jabłuszku lub ciasteczku dadzą.
Na obiad coś zawsze skręcą, a jak płakać zacznę,
To mówią, że to niezdrowe, albo niesmaczne.
Doprawdy, że mi już zbrzydło takie życie smutne,
Wezmę pałasz i sam sobie głowę kiedy utnę.
— A ty myślisz że mi dobrze?—Gucio odpowiada.
Mama się stroi, bawi i smacznie z ojcem jada,
A mnie nic nie dadzą; piją wino, piwo,
A ja wodę, a jak przytem ciągle łają, łają,
Zawsze mnie tylko dzieciakiem, malcem nazywają.
A onegdaj że wypalić, papierosa chciałem,
To mi ojciec go odebrał i klapsa dostałem.
Już tak dłużej nie wytrzymam. Mówią że ogródki
W mieście bardzo piękne, teatr, różne widowiska,
Chciałbym z temi zabawami zapoznać się zbliska,
Mam przecie lat już dziesięć, lecz mówią, żem malutki
Że bawić się będą później jak nabiorę siły,
Jak gdybym dziś ich nie miał, och! świat ten niemiły!
— Co tam wy! przerwie im Mania, ja to nieszczęśliwa,
Nieszczęśliwsza od was wszystkich, bo ta obrzydliwa
Moja bona tylko ciągle zawsze za coś łaje.
Ja chcę niebieską sukienkę, ona białą daje,
Ja chcę grzywkę sobie zrobić, bo to ładnie przecie
Czy panience dorosłej, choćby starszej kobiecie,
Ona na to nie przystaje, czesze włosy gładko,
Choć ja płaczę, grymaszę i skarżę się przed matką.
Rodzice lubią także na zabawy chodzić,
Nie chcąc mnie brać z sobą, cóż to może szkodzić?
Mam także lat już dziesięć!—Tańce bardzo lubię,
Umiem polkę, mażurka, za tańcem się gubię.
A oni powiadają: Mańka jeszcze mała,
Żeby się ze starszemi do zabaw mieszała.
Więc się nudzę okropnie, świat mi brzydnie cały,
Że mi już nieraz z nudów łzy w oczach błyszczały.
— Biedniśmy! zawołały wszystkie razem dzieci,
My się nudzim i nudzim a czas leci, leci,
Kiedyż się będziem bawić?—Więc matce powiemy,
Że czekać na zabawy dłużej nie możemy!

Jest-to wierny obrazek zdjęty z życia rzeczywistego, dlatego, osmieliłem się upstrzyć go własnemi dodatkami zastosowanemi do znanych mi dzieci, dla których przeprowadziwszy powyższą rozmowę, ułożyłem go, psując satyrę p. Barthelsa. Podobnej dziatwy znam u nas bardzo wiele, a nawet z małą zmianą; przedwczesne pragnienie używania przyjemności świata, jest zarazą, która z małym wyjątkiem dręczy całe niemal dzisiejsze podrastające pokolenie. Smutne z tego bardzo dla niego w przyszłości następstwa, aby je od nich ochronić, jedyny środek, ciągle mu mówić o potędze pracy i odpowiednie z siebie dawać przykłady. Kto spełni to, zostawi dziatwie swej bogate dziedzictwo choćby przy najuboższem mieniu, w przeciwnym razie, przy bogatem mieniu dzieciom na starsze lata przygotuje nędzę, lub stokroć od niej gorszą... wieczną zależność.

— Jakże to mądrze wszystko pan wypowiedział—odezwała się Maryanna.—W świecie można różnych rzeczy napatrzeć się i nasłuchać, ale drugiego takiego panicza jak ten, co nas porzucił, to podobno nigdzie nie spotka.

— Oj! spotka na nieszczęście i to dość często—odezwałem się.

— U nas na wsi takich nie ma, — odrzekła Maryanna—bo czy syty, czy głodny, to musi pracować.

Y.

Przegląd literacki.

Gieografia — kurs I — dla dzieci od lat 9 do 12, wyłożył August Jeske (z drzeworytami w tekście). Warszawa, 1874 r. Nakładem księgarza Stanisława Arcta w Lublinie. W 8-ce m. str. 132 Oprawna w tekturkę kosztuje 45 kop.

W dalszym ciągu *Systematycznego kursu nauk* p. Jeskiego wyszła na widok publiczny *Gieografia* dla dzieci, jak autor oznacza, od lat 9 do 12. Nowa ta praca szanownego pedagoga przynosi niemałą pomoc wychowawcom naszej dziatwy, gdyż tak trafnie i umiejętnie cały kurs jest ułożony, iż z geografii, jednej ze zmudniejszych dla dzieci nauk, i mówiąc szczerze, najgorzej wykładanych, uczynił autor niemal zabawę ponętną i w wysokim stopniu rozwijającą władze umysłowe dziecka.

P. Jeske w ułożeniu swojej książki, najnaturalniejszej, a więc najwłaściwszej trzymał się metody. Zaczyna tę tak ważną naukę od tego, aby uczeń w każdej chwili i w każdem miejscu był w stanie oznaczyć z możliwą dokładnością wschód i zachód słońca, oraz południe i północ, tak w naturze jako też na mapie. Jest-to drobna rzecz, a ileż-to spotkać można paniczów, którym dawno już minęła dziesiątka lat, a nie umiejących się w obcej miejscowości *zoryentować*, a nawet wskazać, w którą stronę świata wychodzą okna ich własnego pokoju. Drobna więc na pozór rzecz ta, a nader ważna w istocie jest początkiem geografii u pana Jeskiego.

Następnie w sposób łatwy i zajmujący uczy autor swojego wychowańca, jak ma kreślić na tablicy położenie najbliższych zabudowań, odnośnie do mieszkalnego domu. Nazywa to autor *wędrówką około domu*. Naturalnie, że inną jest ta wędrówka dla dzieciaków mieszkających na wsi, a inna dla przebywających w mieście. Wzory do kreślenia tych planów bardzo proste, bez żadnej artystycznej pretensyi, pokazują dostatecznie, jak uczeń ma sobie radzić, jak baczną zwracać uwagę na położenie jednych domów, ulic lub dróg względem drugich, aby był w stanie wyrysować na tablicy lub kajecie z możliwem podobieństwem *plan sytuacyjny* danej miejscowości. A jak te plany zajmują dzieci, to może się autor przekonać z tego, że jeden ze znajomych mi chłopczyków bardzo trafną zrobił uwagę, że na planie przedstawiającym ulicę królewską z przyległym jej ogrodem, kosciół ewangelicki i gmach Towarzystwa Kredytowego fałszywie zostały narysowane. I w samej rzeczy drzeworytnik błąd popełnił.

Z kolei idąca *wędrówka* po powiecie i gubernii zapoznaje ucznia z najpotrzebniejszemi rzeczami. Pytania streszczające podane wiadomości tem większego nabierają znaczenia, że uczeń sam potrafi nakreślić sobie mapkę danej miejscowości i to nie przez *kalkowanie* zmudne i niczego nie uczące, ale przez zwykły rysunek przy pokratkowaniu tablicy lub papieru i mapy, którą mamy przerysować. I oko i ręka, i uwaga jednocześnie znajdują tu wprawę.

O czem tylu pisało i rozprawiało p. Jeske pierwszy w praktykę wprowadził, rozpoczynając swoją geografię od poznania domu, okolicy i wreszcie kraju całego.

A chociaż, jak łatwo się domyśleć, autor ograniczyć się musiał na podaniu najelementarniejszych wiadomości, to przecież trafnemi i doniosłego znaczenia napomknieniami szerokie zostawił pole nauczycielowi, który znalazłszy chętnego i pojętnego ucznia może je rozwinąć i dopełnić, a tym sposobem i samą naukę geografii urozmaicić i ponętniejszą uczynić. Wiadomo przecież dobrze, jak dzielnym mnemonicznym środkiem jest łączenie historycznych wiadomości z geografią, byle takowe nie polegały na wymienianiu samych dat, suchych, nic same przez się nie mówiących. Również na swojem miejscu znajdujemy zamieszczenie obrazu statystycznego kongresowego królestwa. Wielką on może być pomocą nauczycielowi, mianowicie wiejskiemu nie mającemu pod ręką stosownych książek do czynienia porównawczych uwag, co do ludności i rozległości jednych miejscowości z drugiemi.

Gdy uczeń poznał dostatecznie kraj własny, w którym mieszka, pod którego bezpośrednim rządem zostaje, wybiera się z nim autor w podróż za granicę królestwa, lecz nie jedzie do Paryża, Londynu, albo Wiednia, ale najprzód zapoznaje się z sąsiedniemi krajami i odwiedza najbliższe ich prowincye bezpośrednio graniczące z naszemi guberniami lub powiatami.

Dawszy ogólne wyobrażenie o rozległości, ludności, oraz wymieniwszy główne miasta Rossyi, Prus i Austryi, oprowadza ucznia po Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Mohylewskiej, Wołyńskiej i Podolskiej gubernii. Następnie przechodzi do Prus wschodnich i zachodnich, a zatrzymawszy się nieco dłużej w Królewcu, Gdańsku i Toruniu, udaje się do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, zkąd wędruje do Szlązka Pruskiego, i zwiedziwrzy Wrocław i inne pomniejsze, ale głębokiej starożytności miasta, pospiesza do Galicyi, a wymieniwszy jej rzeki, góry i górskie jeziora, daje krótki opis Lwowa, jako stolicy Galicyi wschodniej. Ze Lwowa, jedzie koleją żelazną do Krakowa, robiąc wycieczki do Bochni, Wieliczki oraz do znaczniejszych miast Galicyi zachodniej. Odwiedziny Szląska austryackiego kończą podróż za granicę.

Teraz dopiero gdy uczeń ma pewne wyobrażenie o swoim i sąsiednich krajach, przystępuje autor do tego, od czego zwykle zaczynano dotąd naukę geografii: mówi o kształcie i obrotach ziemi, i środkami bardzo prostemi prawie dotykalnie tłomaczy, zkąd powstaje dzień i noc, oraz jakie są przyczyny różnych stref na naszym planecie; co do wyjaśnienia pór roku, to zostawia sobie autor na później, gdy wyda wyższy kurs geografii. Podług nas niesłusznie uczynił, gdyż kto potrafił za pomocą dyni z przeciągniętym drutem i świecy postawionej na stole uwydatnić dzieciom wirowy ruch ziemi i jasne dać wyobrażenie o dniu i nocy, ten również poradziłby sobie, żeby choć w przybliżeniu pokazać przyczyny zimy i lata, wiosny i jesieni.

Wszystko, co autor mówi o słońcu i gwiazdach jasne jest i przystępne dla dzieci; wytło-

maczenie posługi, jaką nam *globus* oddaje, również nie zostawia nic do życzenia.

Opis pięciu części świata, mianowicie też Europy niewiele, ale gruntownych dostarcza uczniowi wiadomości, któremi uczeń nawet z wyższej klasy mógłby się popisać.

Jednem słowem geografia ułożona przez p. Jeskiego, jako na gruncie pedagogicznego doświadczenia oparta, wybornie zastąpić może wszystkie dotąd w domowej edukacyi używane podręczniki, jeśli tylko nauczycielki i nauczyciele prywatni zechcą ją sami wprzód przeczytać i przejąć się metodą w niej użytą, zanim ją oddadzą w ręce swojego ucznia. Pan Jeske swoją geografią dobrze się przysłużył młodemu pokoleniu, obdarzając je prawdziwie pożyteczną książką.

J. P.

SŁÓWKO
O TEGOCZESNÉJ POEZYI WŁOSKIÉJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

I.
Kobiety poetki.

(Dalszy ciąg.)

Druga część zbioru poezyj p, Concettiny Fileti, oraz zbiór wydany 1870 r. tworzy rodzaj epopei rodzinnej, nie obejmującej bynajmniej bajecznych jakichś bohaterów, gdyż autorka opisuje dzieje własnej rodziny. Tu z kolei chłopczyki i córeczki są przedmiotem nieustannych, troskliwych badań najlepszej matki, chwytającej naturę dziecięcą na gorącym uczynku. Chcąc dobrze ocenić wartość tych poezyj, należy czytać je po kolei, gdyż tym sposobem uzupełniają się wzajemnie: jest-to jakby nader wdzięczny obraz, którego środek zajmuje autorka, a w około niej grupują się coraz powiększająca się rodzina, która jeśli potrafi korzystać z wzorowego wychowania i zbawiennych rad matki, będzie mogła kiedyś zająć zaszczytne miejsce w rocznikach odrodzonej Sycylii.

Czytając ten śliczny wiersz, przypominamy sobie wzniosły ustęp z *Divina comedia*.

Era gia l'ora che volge il desio etc...,

Noc zapada, dzieci udały się na spoczynek, a matka chodzi od kolebki, do kolebki przypatrując się uśpionym ich twarzyczkom, nie śmiejąc cieszyć się obecnem szczęściem, gdyż myśli o tak niepewnej przyszłości. Przewiduje bolesne rozłączenia i rozdzierające serce pożegnania; ale nadewszystko przeraża ją myśl: że mogłoby być, iż które z jej ośmiorga dzieci okazałoby się kiedyś niegodnem nazwy Włocha, i nie umiałoby oddawać należnej czci nieśmiertelnym ziomkom swoim....

Pani Feleti zrozumiała doskonale, że tak obywatel jak chrześcianin, może a często bardzo musi upaść, jeśli nieustannie nie będzie czuwał nad sobą i tém pięknem rozmyślaniem zakończa swoją *canzone*, odbijającą w sobie zarówno wielkie cnoty i wielką zdolność poetki, potęgującą się widocznie w każdym niemal nowym utworze. Pani Fileti jest dziś chlubą Sycylii i pięknym wzorem dla rodaczek swoich; oby każdy kraj posiadał jak najwięcej podobnych kobiet, i podobne zasady głoszących autorek!

W więcej jeszcze młodocianych latach zaczął się objawiać poetycki talent pani Marianinu Coffa-Caruso, która zawód swój autorski rozpoczęła w dziewiątym roku życia, poematom *Il calvario* a w którym przebija już zdolność jaką nacechowane są późniejsze jej utwory, wydane w 1863 roku.

Wprawdzie pierwszym tym utworom młodej poetki brak siły i werwy, ale za to błyszczą świeżem dziewiczem natchnieniem, a *Nuovi canti* (Nowe pieśni) noszą w sobie wyraźne odbicie nowszych czasów, i w każdym niemal wierszu drga dusza wyzwolonej Sycylii. Łatwo poznać, że pani Coffa-Caruso oddycha wolnem powietrzem, choćby tylko czytając ustęp, w którym w ośmio—wierszowej zwrotce tak opisuje posłannictwo poety:

„Nie byłabym zdolną shańbić mojej liry, wydobywając z jej strun przedajne tony, będę mówić śmiało i gorące słowa moje dosięgną do głębi dusz szlachetnych......

„Gdy charakter nasz zachował wrodzoną sobie dumę i godność, a serce pozostało wierne dawnej swojej wierze i ukochanym w spomnieniom.... śpiewajmy!..... Oświecona promieniami *niestworzonego* światła, ja śmiertelna pójdę złączyć głos mój z głosami potęg niebieskich...,"

Rodzina, religia, ojczyzna, te trzy obstrakcye, które tylko w krajach wolnych mogą być rzeczywistością są naprzemian opiewane przez dwudziesto letnią poetkę, — a z jakimże to zapałem odwołuje się ona do włoskiego serca Wiktora-Emmanuela w godzinach niebezpieczeństwa dla kraju, gdy przyszłość jego rozstrzygała się na polach Marsali i Calatafimi; z jak bezgranicznem zaparciem najdroższych uczuć serca wyprawia do walczących szeregów rodzonego brata swego, choć wie, że śmierć jego będzie jej śmiercią, jak sława jego jej życiem. Lecz najgenialniejszym utworem, prawdziwem arcydziełem młodej poetki jest wiersz którym śmiało i wymownie odpowiada krytykowi, który zaprzecza jej zuchwale słodkiego tytułu poetki:

„Któż-to, kto zaprzecza mi tych nadziemskich natchnień, które są zarazem najwyższą moją rozkoszą i największą męczernią? Moją jest boska sztuka poezyi, nabyłam ją boleścią i łzami i nikt za mniejszą cenę pozyskać jej nie zdoła. Ty! który zaprzedałeś się za marne złoto, który poświęciłeś niecnej jego żądzy wszelkie szlachetne uczucia, uśmiechasz się pogardliwie na wspomnienie kobiety poetki, która umiała ozdobić czoło swoje drogo okupionym wawrzynem! Ty nie wiesz, że miłość przemawia do myśli mojej i dzięki jej i jej łagodnemu światłu, myśl ta zdolna jest sięgnąć do niebios i ogarnąć świat cały. Co do ciebie, żałuję cię, przebaczam i... zapominam. Nie tyle może winnym jest małym i nikczemnym jest ten, kto nie umie pojąć, że sztuka to natura, a natura to Bóg."

Talent pani Coffa — Caruso wyrabia się ciągle i można jej świetną rokować przyszłość.

Na zakończenie tego pobieżnego sprawozdania o współczesnych poetkach włoskich, powiemy o jeszcze jednej, która dzięki szczególności swego talentu rozgłośną pozyskała sławę.

Giannina Milli, urodziła się w Terramo, w 1827 roku. Już w piątym roku życia (1832) improwizowała wiersze o śmierci Pirama Tisbe, następnie natchnienie jej zasnęło snem letargicznym i dopiero w 1843 nagle zbudziło się do życia, ogarniając całą jej istotę.

Pewnego wieczora, siedziała przed fortepianem smutna i zamyślona, wtem uczuła nagle budzące się natchnienie i głos tajemniczy powtarzający jej kilkakrotnie. Pisz! pisz!..., Posłuszna temu wewnętrznemi rozkazowi czy natchnieniu, ułożyła kilkanaście sonetów, które jeden z jej przyjaciół, pan Stefan Martines; uznał za bardzo piękne i zalecał młodej rodaczce swojej, aby nie rzucała pióra. Idąc za jego radą i trzymając się wskazanego kierunku, młoda poetka wyrobiła sobie wkrótce styl bardzo piękny i potoczysty, stanowiący główny wdzięk jej utworów, a nadto odważyła się wstąpić na ślizgą ścieżkę, jaką tak chwalebnie umiały przebyć dwie jej poprzedniczki, sławne improwizatorki włoskie, panie Bandettini i Taddei.

Publiczny, że tak powiem, zawód panny Milli, rozpoczął się dnia 24 czerwce 1847 roku; prawdziwe życie artystki utkane z powodzenia i niepokojów, przez lat pietnaście było jakby jednym nieprzerwanym ciągiem owacyj i tryumfów. W roku 1860, talent Gianniny rozwinął się w całej pełni; zwiedziła Mediolan a ztamtąd udała się do Turynu, ówczesnej stolicy królestwa, i tam na wydanym dla niej wieczorze przez znaną protektorkę literatury włoskiej, baronową Olimpię Savio-Rossi, zyskała ogólny poklask i uwielbienie. Baronowa Savio-Rossi zgromadziła w salonie swoim najpierwsze znakomitości włoskie i wielu bardzo wygnańców z północy i południa.

Giannina Milli, w improwizacyi swojej nie pominęła nikogo, nie zapomniała żadnej wybitniejszej okoliczności i z rozdzierającą siłą uczucia przedstawiła wielkie cierpienia Sycylii i Wenecyi, wzruszyła niewymownie słuchaczy, do tego stopnia że sławny bard, tyrolski, Prati rzewnemi zapłakał łzami, i na uzupełnienie świetnej uroczystości, odczytał kilka prześlicznych, nieznanych utworów swoich.

Trudno zaprzeczyć, że Giannina Milli należy do najznakomitszych w tym rodzaju poetek włoskich. Może czasami słynny p. Regaldi przewyższa ją polotem myśli, ale za to umie ona utrzymać improwizacye swoje w więcej jednostojnym tonie i odznacza się niezwykłą, szczególniej u poetów improwizatorów, poprawnością wysłowienia. Wiele improwizatorów zyskuje nie raz głośne oklaski, których słuchacze żałują później, gdyż cały urok ich utworów ginie po ich przeczytaniu; — otóż improwizacye Gianniny Milli szczęśliwie wychodzą z takiej próby, chociaż tworzą duże dwa tomy a wydawca nie umiał rozklassyfikować ich odpowiednio, mieszając nieraz nader komicznie pieśni religijne i pienia patryotyczne.

Wiadomo, że każdy improwizator bywa niekiedy niewolnikiem swych słuchaczy i musi improwizować na dany mu temat, — i poetka nie uniknęła tego losu. I tak obok natchnionych gorącą wiarą pieśni na cześć „Niepokalanego poczęcia" napotykamy pełne niewysławionego zapału hymny pochwalne dla króla *Galantuomo*, dla Garibaldego, a co gorzej dla Macchivella, którego pochwał żadna kobieta wygłaszać nie powinna. W dwóch ogromnych wydanych tomach znajduje się blizko trzysta improwizacyj; dziś już blizko połowę możnaby usunąć, jako nie wytrzymujące próby druku, a zaledwie czwarta część nie zatonie w niepamięci. W liczbie tych ostatnich są utwory wzniosłem nacechowane natchnieniem, do takich zaliczamy: *Arpa*, (Harfa) *Orfana* (Sierota) *Addio di una Sposa*, (Pożegnenie młody żony) — *Amore e cuce* (Miłość i oczy) *Ideale di un primo amore* (Ideał pierwszej miłości) *Un Saluto la Vesurio* (Powitanie Wezuwiusza). Przytaczamy ustęp z ostatniego utworu, z którego można powziąć wyobrażenie, jak pięknych porównań poetka używać umie, jak szczęśliwie przeciwstawia przyrodę martwą przeciw ożywionej.

„Podróżnik podziwiający wspaniałość Portici i Resiny te prześliczne pałace wyłaniające się niedbale z pośród ruin i odbijające się w błękitnych falach morskich;

„Zatrzymuje się niepewny, zapytając siebie, czy straszny ten wulkan, który pochłonął Stabia, Pompeją i Herkulanum, jest to toż samo urocze i wdzięczne wzgórze, przedstawiające się z wejrzenia tak niewinnie i takim wabnym ożywione uśmiechem?,....

„Tak i męztwo i wytrwałość włoska, pełne zapału i ufności w Bogu, przygotowywa w milczeniu dzieło przyszłości, i podobne do nie dającego się

przygasić płomienia, objawi nam się kiedyś wielkiemi czynami.

Poezya ta wypowiedziana była w 1858 roku, a trzecia strofka tak wyraznie prorocza, godna jest prawdziwej *wieszczki*. Giannina Mili posiada zadziwiający dar odgadywania przyszłości, lecz w takich chwilach przebywa straszne wstrząśnienia nerwowe, na które, w ostatnich szczególniej czasach, rzadko kiedy odważała się wystawiać. Obecnie zupełnie już zaprzestała improwizować; dwa tomy dawniejszych improwizacyj nie wyszły w drugiem wydaniu, i można powiedzieć stanowczo, że poetycki zawód Gianniny już na zawsze przeminął.

Jest jeszcze wiele wierszopisarek we Włoszech, rozrzucających po różnych pismach ulotne rymy swoje, lecz te, mało znane dotąd nawet w własnej ojczyźnie, żadnego dla obcych czytelników nie przedstawiają zajęcia, pomijamy je więc milczeniem, a przejdziemy do tegoczesnych poetów włoskich, w licznym których zastępie nie brak prawdziwie genialnych wieszczów.

d. c. n.

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnéj.

Z LIVERPOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie).

Minąwszy okolicę niebezpieczną i kierując się bardziej na południe, wpłynęliśmy około Niedzieli w klimat niby włoski. Lazurowe niebo odbijało się w gładkiej toni, Atlantyk przybrał tę szafirową barwę nigdy nie widzianą na wybrzeżach Anglii, gdzie woda wygląda zwykle ciemnozielono. Delfiny zwane przez żeglarzy porposy, igrały w około sztaby, mijając nas lub okrążając dokoła, gdyż szybkie te ryby pływają z szybkością kolei zelaznej, rekin płynął za nami chwytając chciwie okrawki wyrzucane z kuchni, raz kilka wielorybów zjawiło się o paręset kroków od nas i bawiło nas widokiem ogromnych grzbietów na których siadało dla spoczynku morskie ptastwo. Z nozdrza ich tryskały co kilka minut fontanny srebrzyste, zdradzające ich sąsiedztwo na mil kilka nawet. Widok tych wodotrysków napełnia uciechą załogi statków polujących na wieloryby i każe im spuszczać łodzie i spieszyć w pogoń za łupem.

Wieczór z Poniedziałku na Wtorek tak był łagodny że i pod zwrotnikami nie widziałem piękniejszego. Brakło tylko gwiazd Południa gęsto i w dziwnych rozsypanych konstelacyach, brakło szelestu pletw ryb latających, by przenieść pamięć ku morzu *dam*, na którem wiecznie wieje łagodny wiatr przeciągowy i burze nigdy nie piętrzą fali w bałwany, gdzie po morzu goni srebrna falka za falką, a po niebie szara chmurka za chmurką.

Mieliśmy na pokładzie tej nocy i chóry majtków, gdyż w ostatniej dobie spędzonej na otwartem morzu, podróżni raczyli marynarzy. Większą jeszcze rozrywkę jak śpiewy sprawiła śmierć delfina ujętego harpunem. Biedny bonista, (tak nazywają ten rodzaj delfinów) w chwili zgonu zachwycał widzów cudnemi zmianami barw. Choć zmrok zapadał jeszcze starczyło światła, by raz go ozłocić, raz lśniącą oblać purpurą, która znów zmieniła się w zieleń błyszczącą metalicznie, potem w szafir, a nakoniec, gdy żyć przestał, przybrał barwę jednostajną szarą.

Upłynęła noc spokojnie wśród śpiewów i gawęd o blizkiej już Ameryce. Szczupłe grono podróżnych naszej klasy poznawszy się i pokochawszy, gdyż pożycie na morzu nadzwyczajnie ułatwia zażyłość i skłania do zgody i miłości, nie kwapiło się do łóżka.

Ileż to bowiem zwierzeń mieliśmy do wypowiedzenia. Ten opowiadał o szczupłości swych środków pieniężnych i chęci do pracy i pytał innego, który już lat kilka mieszkał w Ameryce, o sposoby spożytkowania swych sił i zdolności. Inny, człowiek młody i ożeniony na kilka tygodni przed opuszczeniem Anglii, układał plan z niejakim górnikiem wracającym do swego domu w Kalifornii, by mu towarzyszyć w długiej podróży przez kontynent amerykański i szukać pod jego opieką zajęcia w ziemi złota. Brakło mu pieniędzy, lecz nowy przyjaciel chętnie ofiarował się dopożyczyć mu, co brakło, mówiąc:

— Zapłacisz gdy się dorobisz.

A inni jeszcze czulsze robili zwierzenia. Dwie panienki, Angielka i Szkotka jechały z nami. Pierwszej oczekiwał narzeczony w Chicago, dzień jej przyjazdu miał być i dniem jej ślubu. Hoża, majętna i wykształcona Angielka porzuciła rodziców i jak mężczyzna puściła się sama o mil tysiące, by ujrzeć narzeczonego. Ten wyniósł się z Europy przed kilku laty, dorobił się cokolwiek mienia w Ameryce i dziś gdy mógł już żonę utrzymać przysłał pieniądze na jej podróż do Chicago.

Szkotka, niemniej od Angielki powabna, jechała do kuzynów osiadłych w Nebrasce, jednym z owych zachodnich stanów, gdzie lat temu kilka tylko Indjanin polował na bawoły, a dziś kilkakroć sto tysięcy rolników pruje pługiem dziewicze stepy i wysyła dość pszenicy, by karmić miljony Europejczyków. Jednego z kuzynów jej znałem dokładnie w Australii, rodzice panienki powierzyli ją więc mej opiece na statku. Jakie zwierzenia zaszły pomiędzy tą Szkotką a uniżenie podpisanym korespondentem Waszym, kochany Redaktorze, nie piszę; lecz adres jej dokładny wynotowałem i jeżeli kiedy los zagna do Nebraski, a coś mnie tam ciągnie, wiem gdzie mnie przyjmą gościnnie.

Nazajutrz o świcie ujrzeliśmy *Kutter* czyli żaglowiec o jednym maszcie i ogromnym italskim żaglu, wiozący pilota. Łodzią zeń spuszczoną dobił do naszego parowca mężczyzna smukły młody i żwawy. Był-to pilot mający nas wprowadzić do portu.

Piloci amerykańscy słyną ze śmiałości i zręczności. W drobnych kutterach oddalają się często o mil morskich parę set od brzegów oddzielonych od morza pasmem mielizn nader niebezpiecznych. Znajomość niebezpieczeństw i zimna krew pozwala tylko im prowadzić statki przybywające z Europy po tych płytkich morzach; chęć wrodzona Amerykanom, by jak najwięcej zarabiać, wypędza ich jednak dalej od lądu jak rzeczywista potrzeba wymaga. Który z nich najpierw się dostanie na pokład obcego okrętu, ten otrzyma dobrze płatne zajęcie. Ztąd częste odbywają się gonitwy, gdy dwóch lub trzech ujrzy jeden statek na Wschodzie. W pięć minut po przybyciu naszego pilota dwa inne kuttry zjawiły się opodal, a wyczytawszy z niebieskiej bandery wywieszonej na naszym maszcie iż już mamy pilota, puściły się w zawody do żaglowca, prującego morze o kilka mil za nami. Piękny był widok tych drobnych łabędzi morskich, ścigających się z pomyślnym wiatrem w kierunku zachodnim, by czemprędzej dopaść pożądanego gościa.

Około południa pojawiły się białe wybrzeża wyspy *Long Joland* niby wązki pas pomiędzy niebem a wodą. Latarnia morska stojąca na niej wyglądała jak szara igła i tylko wprawne oko majtków lub podróżnego jak ja, odgadłoby, iż ten pas i ta igła ląd oznaczały.

Zanim słońce zaszło ujrzeliśmy światła w zatoce Nowego-Yorku.

Tumany mgły zasępiły widnokrąg z nadejściem nocy. Pilot nasz nie chcąc narażać statek na niebezpieczeństwo, postanowił zarzucić kotwicę przy wstępie do portu.

Leżeliśmy przez większą część nocy o milę od lądu i miasta, mającego nas ugościć nazajutrz. Dopiero przed świtem ruszyliśmy z miejsca a gdy wschodzące słońce mgłę rozegnało, ujrzeliśmy cudny widok wnętrza przystani długiej i malowniczej jak Bosfor. Okręt znów zarzucił kotwicę koło wyspy Staaten Island, sterczącej znacznie nad powierzchnią portu, okrytej zielenią i pięknemi willami. Z tej wyspy przybył mały parowiec z lekarzem i komisarzem żądowemi. Przekonawszy się, iż nie przywieźliśmy żadnej choroby, pozwolili nam ruszyć z miejsca i około siódmej z rana zarzuciła Minesota kotwicę w doku należącym do jej właścicieli. Około nas ciągnęły się groble ożywione tłumem wozów i tragarzy, setki statków ozdobionych amerykańskiemi banderami, w białe i czerwone pasy i w gwiazdy na tle niebieskiem, snuły się po wodach portu; ruch na lądzie i na morzu przypominał Londyn.

Była to środa z rana, podróż więc nasza z Anglii do Ameryki trwała dni 14 niespełna.

Wiadomości bibliograficzne.

Illustrowane czasopismo ,,Kłosy" oddawszy wielką przysługę ojczystej literaturze przez wydanie *kompletne i tanie* dzieł Józefa Korzeniowskiego, jednego z najznakomitszych powieściopisarzy i dramaturgów naszych; z początkiem bieżącego roku, miesięcznemi tomami lub w arkuszach tygodniowo wydaje ,,Bibliotekę najcelniejszych utworów literatury europejskiej." Publikacya ta, o ważności której uważamy za zbyteczne tu się rozwodzić, ogłosiła dotąd ośm tomów, w których pomieszczone zostały z literatury polskiej wybrańsze utwory J. Słowackiego, ,,Dziewica Orleańska" Karola Libelta, i ,,Jan z Tęczyna," powieść historyczna Juliana Ursyna Niemcewicza; z literatury angielskiej zaś ,,Kenilworth" romans historyczny Walter-Skotta, w poprawnym przekładzie z oryginału angielskiego przez Erazma Rykaczewskiego.

W dalszym ciągu *Systematycznego kursu nauk*, wydał pan Arct, księgarz z Lublina, *drugą część* książki zatytułowanej *Świat i Dzieci* czyli *Nauka o rzeczach*, wyłożona metodycznie przez Augusta Jeskiego, Warszawa, w ćwiartce wiel. Wewnątrz tablice kolorowane do objaśnienia tekstu. Jest-to, jak autor w I-ej części zapowiedział, nauka *o zwierzętach i roślinach*, czyli początki *Zoologii i Botaniki*. Książka ta, oprawna już w tekturkę, kosztuje rs. 1 kop. 50.

Przyjaciela Dzieci Nr 38 wyszedł z druku i zawiera:

Katedra w Medyjolanie. (z drzeworytem).—Brat i Siostra powiastka przez Cecylije Stattler (dokoń.).—Przed chatą w dzidń świąteczny (drzeworyt).—Zegar (wiersz).—O czyszczeniu bitumów.—Czyny nauczające.—Od Redakcyi.—Szarada.—Zagadnienie gramatyczne.—Rozwiązan Szarady. — Objaśnienia zadania. — W Dodatku: Marya Stuart.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami oraz arkusz z krojami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Tygodnik Mód w Warszawie 1874 roku.

DODATEK

z opisami wzorów i krojów do Numeru 38.

Opis do N. 38.

(Dokończenie).

N. 22—23. Marynarskie ubranie dla chłopca i dziewczynki.

Krój kamizelki, bluzy i majtek, N. IV Fig. 12—18.

Chłopczyki do lat 6 i 7 noszą majtki za kolana, do których małym dzieciom daje się krótkie pończoszki i buciki, większym buty ze sztylpami lub kamasze. Dziewczynki do lat sześciu noszą taką samą bluzkę i spódniczkę. Tak na ryc. 22 jak na 23, z pod bluzki wiązanej na kokardy ze wstążki wygląda bluzka biała, która u chłopczyka zaszyta jest w zakładki, a pod szyją ogarnirowana fryzką, u dziewczynki podłużny wykrój szmizetki oszyty jest modną krezą.

Na ryc. 22 bluzka i majtki są z sukienka granatowego, wyłogi mankiety i lampasy z czarnego rypsu; guziki gładkie złocone. Można zarówno takie ubranie odrobić z płótna szarego albo szafirowego, lub z dymki w paski. Na ryc. 23 spódniczka i bluzka jasno popielata przybrana jest kolorem niebieskim. Plisy na falbanach i kołnierzu, mankiety, pasek kokardy przy bluzce i wstążki przy białym słomkowym kapeluszu są niebieskie. Buciki popielate, guziki z konchy perłowej.

N. 24. Suknia i vêtement dla dziewczynki. Krój podaliśmy na początku roku.

Gładka wełniana materyja w dwóch cieniach, i także materyja w rzucik, połączone są w tem ubraniu. Falbana z nagłówkiem 15 cent. szeroka oszyta jest ciemniejszą plisą 4 cent. szeroką; także plisa dana jest nad falbaną i przy vêtement w rzucik, przy wszystkich są jasne wypustki. Rękawy gładkie przybrane patkami i plisą. Z przodu vêtement zapinane na patki albo same guziki.

N. 25 i 17. Sukienka z fartuszkowym garnirunkiem.

Do stanika i spódniczki z płótna écru, dodane jest z przodu ubranie z białej piki, wyszyte torsadką *Frimings*. Odpowiednie oszycie dodane jest na spódniczce u dołu, przy tiunice, rękawach i pasku.

N. 26 opisany przy ryc. 8.

N. 27. Ubranie z materyjału gładkiego i w pasy.

Na tę suknią użyty jest trojaki materyjał, to jest gładki w dwóch cieniach i w paski tychże samych kolorów. Jaśniejsza spódnica oszyta jest ciemniejszemi plisami lub falbanami, na kamizelkę z długą baskiną założony ciemny, otwarty kaftaniczek. Przy tiunice i rękawach w paski, plisowana falbana ułożona jest w ten sposób, że zawsze jednakowe paski wychodzą na wierzch fałd, a drugie stanowią niby podszewkę. Nowością bowiem obecną jest takie układanie materyjałów w pasy, iżby te stanowiły niby jedno kolorową całość z odmienną podszewką

O BIELIŹNIE.

(Dokończenie).

Wszystkie te zalety są to charakterystyczne cechy fabryk niderlandzkich w ogóle. Z maszynowych płócien oglądałam Irlandzkie nadzwyczaj pozorne naturalnie tańsze bo sztuka już od 27 rs, ładnie wygląda najwyższa cena tego płótna 60 rs. dochodzi. W dalszym ciągu widziałam prześcieradłowe płótna. Jedne tylko fabryki w Szląsku tną wyroby swoje na sztuki 12-to prześcieradłowe i te 3 łokciowej szerokości są w cenie 28 rs. Holenderskie tejże samej szerokości wypadają łokieć od 60 kop. do 1—10 szersze zaś o pół łokcia używane na prześcieradła pod kołdry od 95 do 1—50. Belgijskie 3 łokciowej od 1—40 do 1—80 3 1/2 łokciowe od 1—65 do 2 rs.

Ręczniki są, bielone, zupełnie jeszcze szare, które dopiero w użyciu nabierają koloru, i śliczne atłasowego nawet połysku, cienkie, wykwintne rysunkiem tkaniny. Nie bielone w ciągnionym deseniu są od 17 kop, łokieć. Odpasowaue 4—90 do 6 rs. tuzin. Holenderskie 3 ćwierci łokcia szerokie a 2 1/4 łokcia długie od 7—18 1/2.

Po ręcznikach najwłaściwiej przejść będzie do drugiej deseniowej bielizny, to jest do *bielizny stołowej*. Wielki jej dobór, garnitury bogate różnorodnym gatunkiem i wytworne wzorami, ułatwią bardzo, zwłaszcza w wyprawnych nużących sprawunkach, wielki kłopot wyboru. Wiele praktycznych pań które robiąc wyprawy córkom swojem myślą nad tem, aby zaopatrując nowe ich gospodarstwa na dłużej i dogodnie i oszczędnie wydatkami temi pokierować, biorą bieliznę stołową całą jednym deseniem, co nietylko ułatwia kontrolę, ale jeszcze ma tę dobrą stronę za sobą, że mniejszy garnitur posiłkować może swobodnie większy, a śladu żadnej łataniny znać nie będzie. Stołowe garnitury są najmniejsze na 6 osób, największe na 24. Garnitury 6-cio osobowe są od 6 1/2 do 26—12-to osobowe od 11 do 45—18-to osobowe od 45 do 67—24-ro osobowe od 45 do 85. Nadto dostać można samych obrusów bez serwet, i tuziny serwet bez obrusa.

Deserowe garnitury białe z małemi serwetkami, okrągłemi, owalnemi i kwadratowemi z frędzelką lub do obrąbienia są od 10—12 rs. tuzin Samych zaś serwetek od 1—20 do 8 1/2. Kolorowe z ślicznie wrabianym kolorową nitką deseniem od 10 1/2 do 16 rs. garnitur

Pończochy. Do codziennego użycia bardzo są noszone kolorowe w pasy pończochy. Jest to moda, jak wszystkie mody czysto paryzka. Paryżanki wychodząc na ulicę za

sprawunkami z dziećmi na przechadzkę lub oddając ranne wizyty, nie wiążą zręcznych nóżek swoich w wysokim buciku lecz wdziewają tylko lekkie czarne pantofelki. Płytki trzewik ogromnie ułatwia zapylenie pończoch, ztąd to więc napowrót przyjęta moda różnobarwnych pończoch. Pan Wilczewski duży wybór ich sprowadził, sprzedając pojedynczo lub na tuziny, polecam je bardzo czytelniczkom naszym na podróż, ranne lub zamiejskie wycieczki.

Ceny pończoch są następujące: cienkie fil d'Ecosse w pasy podłużne jakby ażurowe 2 rs. para, takie same bawełniane grubsze 3—90 tuzin, fil d' Ecosse w kolorowe jedwabne pasy 2 $1/2$ rs. para, cienkie bawełniane 1 rs. para Jedwabne gładkie 3 rs. para, fil d' Ecosse po 1—65 para, 6-cio drutowe bardzo mocne 6 $1/2$ do 12 rs. tuzin. Wszystko są to pończochy długie za kolana francuzkie, tak zwane zaś angielskie, takie jak my zwykle nosimy, są w cenie niższej, bawełniane od 5 $1/2$ do 11 rs. tuzin wypadają. Dziecinne pończoszki każdej wielkości i długości od 4 do 8 $1/2$ rs. tuzin. Skarpetki męzkie bawełniane od 5 do 7 rs. fil d' Ecosse gładkie od 6 $1/2$ do 8 rs.; kolorowe fil d' Ecosse z jedwabiem 7—80 rs. za tuzin; bawełniane kolorowe 5 rs. tuzin.

Chustki od nosa w trzech wielkościach, cienkie płócienne od 1—40 do 12 rs. tuzin; z kolorowemi szlakami także płócienne dziecinne od 18 kop. sztuka, męzkie całe z kolorowego płótna od 50 kop. do 1 rs. za sztukę.. Batystowe z kolorowemi szlakami od 45 kop. do 1 rs. sztuka batystowe męzkie z fularowemi obrębami po 1—20 kop. Batystowe francuzkie ręczne, gęste do codziennego użytku od 7 rs. tuzin, linon batiste przezroczyste od 13 do 30 rs. tuzin; batystowe z szerokiemi obrębami od 7 $1/2$ do 18 rs. tuzin. Haftowane z koronkowemi wszywkami i t: p. ozdobami od 2—70 do 35 rs. sztuka.

Pan Wilczewski posiada także obfity i różnorodny ze względu na ceny jak i gatunki, szerokość i t. d. zasób haftów, w kształcie falbanek, wstawek, medalijonów i t. d. na płótnie, batyście i muślinie, sprzedając je na łokcie, począwszy od 3 kop. łokieć. I ogromny wybór gotowej męzkiej i damskiej bielizny, na różne ceny odpowiadającej różnem wymaganiom publiczności.

Ponieważ firanki wchodzą w zakres towarów, w składach bielizny utrzymywanych, im także słówko poświęcić muszę. Najwięcej podobał mi się wyrób angielski na firanki prześliczny imitujący siatkę tiulową bardzo bogaty pięknym i dokładnym deseniem sprzedaje się tylko w od. pasowanych do okien firankach które są niesłychanie szerokie bo aż od 2 $1/2$ do 3 $1/2$ mają szerokości a długości 6 łokci i są w cenie od 4 $1/2$ rs. do 16 rs. okno. Muślinowe na łokieć od 27 $1/2$ kop. do 40 kop. łokieć. Śliczne muślinowe są także lambrekiny zastępujące w domach gdzie w ścieśnionem miejscu są okna, doskonale długie firanki, lambrekina taka do jednego okna w ładne festony wycięta i odziergana wypada od 1—20 do 2—40.

Na przykrycie łóżek są cienkie i mięsiste pikowe kapy odziergane w około od 9 do 18 rs. za parę; kapa zastosowana wielkością do dziecinnego łóżeczka wynosi od 2 do 5 rs.

Magazyn pani Witkowskiej Nowy-Świat N. 25 zaopatrzony jest tylko w samą gotową i na obstalunek robioną bieliznę. Zacznę od męzkiej.

Gotowe koszule z doskonałego czysto lnianego płótna, z cieńszemi gorsami angielskiemi, ślicznie i dokładnie odszyte od rs. 34 tuzin. Haftowane na przodzie po 4 rs. sztuka wypada. Perkalowe z webowemi gorsami 21 rs. tuzin całe perkalowe 18. Zwykle teraz po wszystkich zakładach szyją koszule męzkie bez kołnierzy i mankietów, jest to bardzo dogodny zwyczaj, bo łatwiej w ciągu dnia przypiąć świeży kołnierzyk i mankiety, niż całą koszulę zmieniać. Pani Witkowska przygotowuje także oddzielne półkoszulki webowe z przyszytym kołnierzykiem. Na kalesony używa tylko kreasu, gdyż wyrób ten o wiele mocniejszy jako ściślejszy od płótna i dymy, praktyczniejszym się okazał; tuzin bardzo porządnie odszytych z ładnego kreasu, kalesonów kosztuje 21 rs.

Jako ułatwienie dla osób życzących sobie w domu bieliznę przysposobić, jest duży wybór gotowych gorsów. Cienki potrójny gors angielski wypada mniej więcej 45 kop. a haftowany 75.

Koszule damskie dzienne najtańsze z gotowych na tuziny, od 32 rs. wszakże pani Witkowska podejmuje się na obstalunek zrobić tuzin za 28 rs. naturalnie będą one dosyć grube, i choć bardzo porządne ale bez żadnych ozdób i szyku uszyte.

Forma koszul jest rozmaita, to z karoczkami, to z jednostajnemi paskami w około gorsu, to nierozcinane zupełnie lub zapinane na ramionach, z bogato przybranym gorsem Bardzo podobał mi się fason dziennej koszuli razem z rękawkiem krajanej, fason arcy dogodny, zręczny i praktyczny. Koszule nocne zawsze są parę rs. droższe na tuzinie od dziennych.

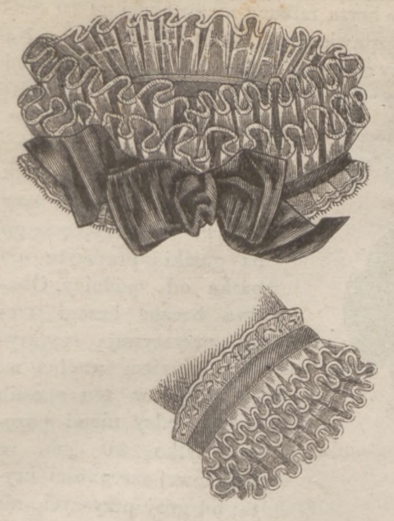
Majtki perkalowe, gładkie są w cenie 1—20 para; ubrane falbankami, haftem, wodami, droższe. Kaftaniki zaś perkalowe od 1—45 do znacznie wyższych cen dochodzą, jeżeli muśliny, koronki lub hafty składają się na ich ozdobę. Odpowiednie są zaraz i spódnice, które mimo właściwego użytku, negliż także stanowić mogą. Śliczne widziałam tam ranne ubrania w formie długiej powłóczystej Gabryjeli. Starannie i bardzo gustownie ubrany szlafroczek taki 20 rs. wypada. Tą samą formę pokazywano mnie także gotowe szare kretonowe szlafroczki z pelerynkami, ożywione jakimś jaśniejszym kolorem w cenie 10 rs. i bardzo praktyczne z Paryża sprowadzane bluzy z falbaną od dołu, ładnym i nowym fasonem który zręcznie figurę uwydatnia po rs. 4; perkal jest w deseń bardzo gustowny i cienki, przód spięty na guziki z konchy perłowej.

W kołnierzykach najrozmaitsza panuje moda. Noszą jeszcze krezy i wysokie koliste kołnierze, ulubione jednak garniturki z odwijanemi rożkami są także jeszcze modne.

Ozdobne muślinowe krezy z falbanami pod rękawy wypadają od 1—50 kop. garnitur. Takie same noszą z ładnej cienkiej batystowej weby, i te o 50 kop. są tańszę. Robią je zupełnie gładkie szeroko tylko obrąbione, albo objęte kolorowym kretonem, którego wedle zaręczenia pani Witkowskiej woda nic nie zmieni.

Inne kołnierzyczki webowe z chusteczkami są od 35 kop. męzkie mankiety od 50 a damskie od 45 kop. Na dopełnienie kołnierzyków są tam jeszcze w znacznej ilości całe webowe szmizetki, z szerokiemi przodami pod otwarte staniki lub kaftaniczki w cenie rs. 1—50 za sztukę.

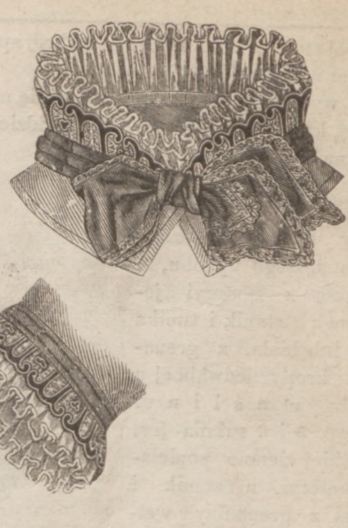
Дозволено Цензурою.



N. 1—2. Kreza i mankiety z muślinowej rurkowanej falbanki.



N. 5. Ubranie wizytowe z potrójną tuniką i oddzielnym trenem. Patrz ryc. 6 plecy, ryc. 22 N. 37 T. M. przód, wewnętrzna część tuniki ryc. 7 Krój w dodatku N. I Fig. 1—6.



N. 3—4. Kreza i mankiety z haftem. Krój i wzór haftu w dodatku N. V Fig. 19—20.

Opis do N. 38.

N. 1—2. Kreza i mankiety z muśliwej, w rurki układanej falbanki.

Skośne 5 i 4 cent. szerokie muślinowe falbanki obrąbione rulonikiem, układają się w równe rurki, i fastrzygują do wązkiego skośnego paska w ten sposób, ażeby szersza szła na spód. U dołu pasek oszyty jest koronką, a z wierzchu przykryty pliską z kolorowej jedwabnej krepy, złączoną takąż kokardą z przodu. Tak samo garnirowane i przystrojone są rękawki.

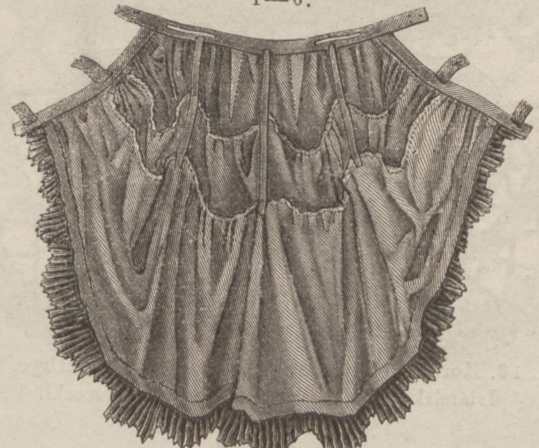
N. 3—4. Kołnierzyk i mankiety haftowane i podgarnirowane krezą.

Krój i deseń kołnierzyka N. V Fig. 19—20. Fig. 19 podaje formę i deseń kołnierzyka, haftowanego sposobem gipiurowym, bawełną białą na batyście écru, i podgarnirowanego krezą muślinową. Podług tej samej formy łatwo dopasować można odpowiednie mankiety. Na Fig. 20 dajemy dobrą formę chusteczki, wszytej w wąziutki pasek, która do każdego kołnierzyka służyć może.

N. 5—7. ryc 22. w N. 37 Tygodnika ubranie z oddzielnie dodanym trenem i potrójną tuniką.



N. 6. Wizytowa suknia z potrójną tiuniką i oddzielnym trenem. Patrz przód ryc. 22 i ryc. 5, N. 37 T. M. wewnętrzna część tuniki ryc. 7. Krój w dodatku N. I Fig. 1—6.



N. 7. Wewnętrzna część tiuniki do ryc 6.



N. 8. Suknia z chusteczką Marie Antoinette. Patrz przód ryc. 26. Krój chusteczki w dodatku N. VII Fig. 29-a 29-c. Wzór na haft Fig. 42.

Krój stanika N. 1 Fig. 1—6; krój spódnicy na zmniejszonym modelu Fig. 7—7-a.

To wykwintne ubranie odznacza się niezwykłą, potrójną tuniką, która zachodzi pod tren oddzielnie dodany, oraz wybitną różnicą w cieniach i gatunkach użytego materyjału. Suknia i tren powinny bydź z cięższego i ciemniejszego wyrobu, a najlepiej z materyi jedwabnej; stanik i tuuika jasna lub biała, z grenadiny, krepy jedwabnej a l u b m u ś l i n u. Na ryc. 5 i 6 suknia jest z ciężkiej ciemno popielatej materyi, a stanik i tunika z grenadiny wełnianej, w paski lub gładkiej, koloru srebrnego. Na ryc. 22, w N. 37 Tygodnika do sukni z lżejszej, kolorowej materyi, dodana tiunika biała muślinowa, garnirowana plisowaną falbanką; rękawy zaś ułożone w bufki, przedzielane pliskami z materyi. Stanik z krótką, gładką baskiną, kraje się podług formy do ryc. 26 w N. 37; kształt krótkiej baskiny oznaczony jest kropkami na Fig. 2. W ten sam sposób wskazane są potrzebne zmiany w plecach i przodach. Na ryc. 5 i 6 stanik u dołu ogarnirowany jest plisowaniem z materyi, a podłużny wykrój pod szyją, oszyty krezą z krepledy białej i z materyi, ułożonej w ten sposób, iż



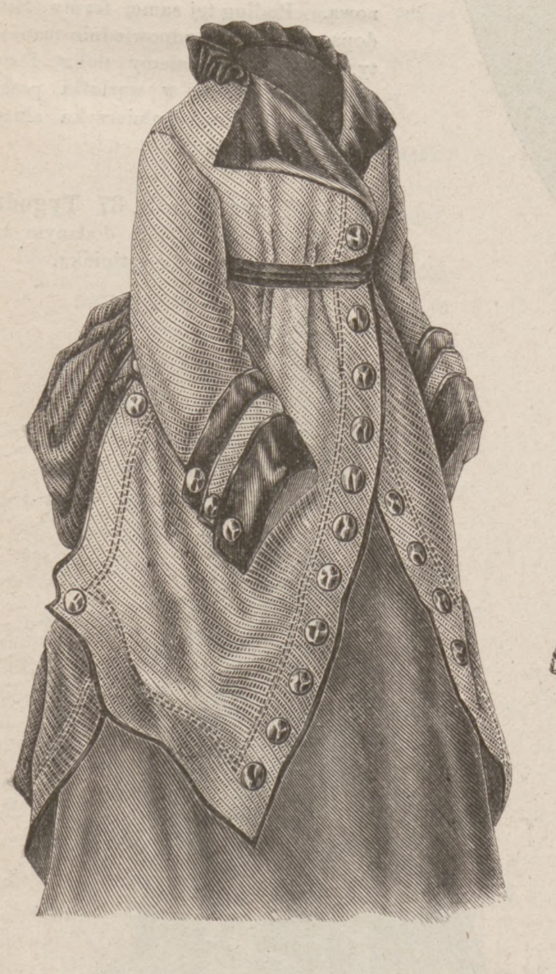
N. 9. Kwiaty włóczkowe robotą dzierganą. Gałązka z liści VI.

W środku tylnego bryta falbana niedochodzi na 30 centymetrów, które pozostawione są gładko pod tren. Na tren potrzeba 3 bryty materyi, mające 150 cent. długości u dołu oszywa go się sznurem jedwabnym, a w górze układa w szerokie poczwórne fałdy do 17 cent. objętości i wszywa w osobny pasek w którym robią się trzy dziurki, do przypięcia go na guziki przyszyte do paska od spódnicy. Obadwa boczne brzegi trenu, przyszywają się krytym ściegiem wzdłuż na spódnicy, w ten sposób iż pomiędzy niemi pozostaje tylko 30 cent. ze środkowej szerokości bryta; od góry przyszycie nie powinno dosięgać rozporka w spódnicy. Miejsce przyszycia oznaczone jest na Fig. 7 kropkami.

Układ i formę potrójnej tuniki dokładnie rozpoznać możns na ryc. 7, na której o d r y s o w a n a j e s t z lewej strony, składa się ona z trzech zupełnie prostych, 52 cent. szerokich brytów, obróconych poprzecznie i zakończonych u dołu obrębem 2 cent. szerokim, na którym przyszywa się plisowanie. Najniższa część ma 215 cent. długości, środkowy 177, a górny 142 centymetry. Plisowanie 8 cent. szerokie jest z boków do 6 ½ cent. zwężane, dwie dolne części są w górze przymarszczone na sznur-



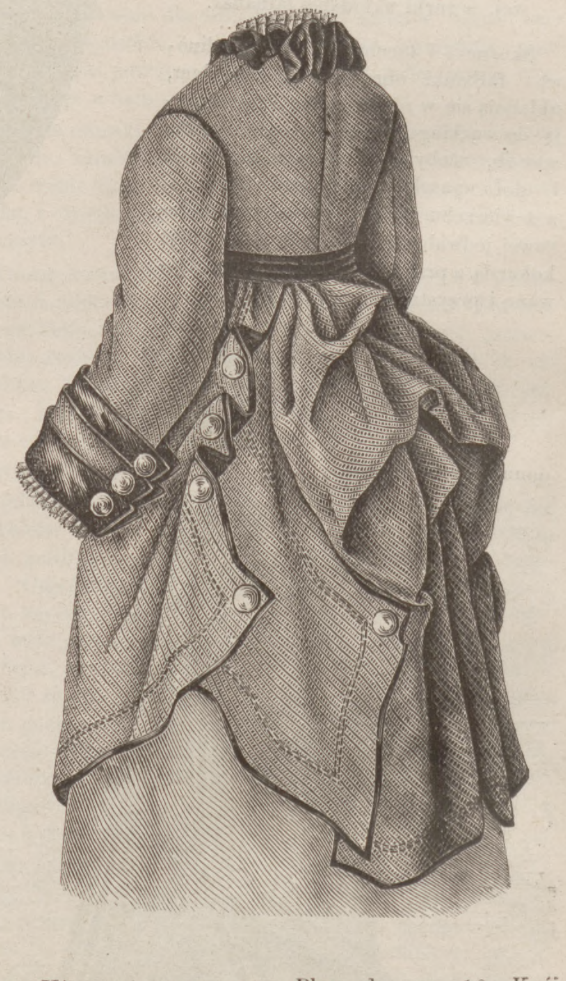
N. 12. Postument do biletów lub biżuteryi. Robota mozajkowa z szyczek, nasion i malowanie na drzewie. Wzory układu mozajki malowidła i t. d. w dodatku Fig. 21 22a.



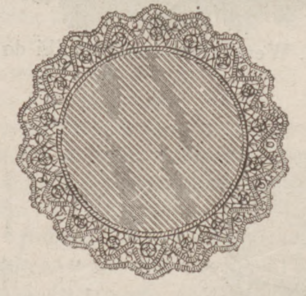
N. 10. Vêtement z ranwersem. Przód do ryc. 11. Krój w dodatku N. VI Fig. 22—28-a.



N. 13. Koronkowy szlaczek do okrągłej serwetki ryc. 14. Irlandzka koronka z koronkowej tasiemeczki.

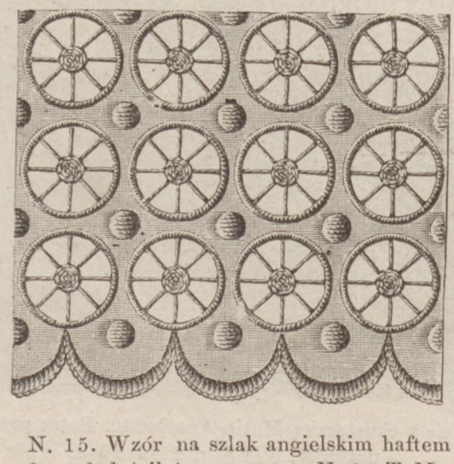


N. 11. Vêtement z ranwersem. Plecy do ryc. 10. Krój w dodatku N. VI Fig. 22—28-a.

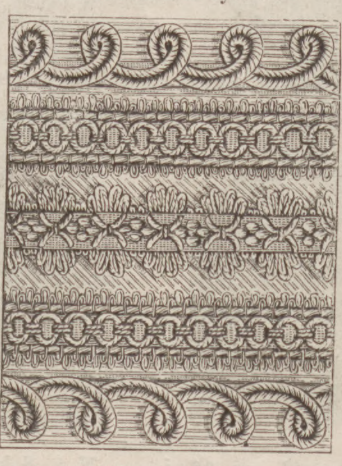


N. 14. Okrągła pikowa serwetka z szlakiem koronkowym. Patrz szlaczek ryc. 13.

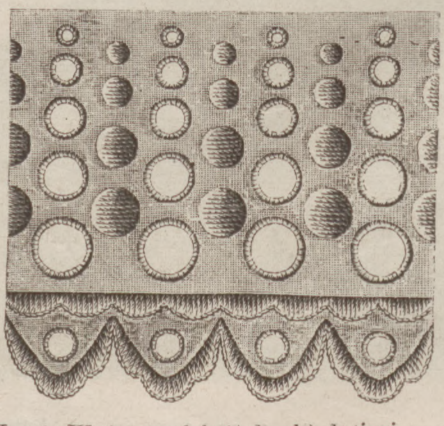
fałdy wpadają jedne w drugie; kreza ta od dołu nagłówkiem zakończona, ma z tyłu 6 ½ a z przodu 8 cent szerokości, fałdy od tyłu potrójne, do przodu są zmniejszane i płaściejsze. Materyjalny rękaw zakończony jest mankietem którego forma mieści się na ryc. 6. Plisowanie 8 cent. szerokie, podszyte jest w ten sposób iż wystaje z pod mankieta na 2 cent. i wychodzi z boku przez otwór, w górze plisowanie ma 3 ½ cent. Oprócz tego skośny kawałek materyi, nłożony jest w fałdy na mankiecie i złączony przy rozcięciu kokardą. Pod całą spódnicę daje się podszewkę ze sztywnego muślinu, a oprócz tego listwę z kamlotu odpowiedniego koloru. Falbana 34 cent. szeroka, ku przodowi do 20 cent. zwężona, z przodu jest plisowana, a od boków naprzemian w 4 plisowane fałdy i jedną 4 cent. szeroką, podwójną kontrafałdę układana.



N. 15. Wzór na szlak angielskim haftem do podwłośników ryc. 17 w N. 37 T. M. Zdatne do garnirunku sukien i tiunik.



N. 17. Wyszycie zdobne pikotami (torsadka Frimming) do sukienki ryc. 25.



N. 16. Wzór na szlak (Atłasek) do tiuniki ryc. 24. w N. 37 T. M. Zdatny również do kaftaniczków i t. d.

ki do 125 cent. objętości, a z boków trzy razy przemarszczone do 16 centymetrów. Część górną zwęża się skośnie na 17 cent. ku górze, i podciua okrągławo do 4 cent. głębokości, Ażeby tiunika dobrze przystawała, z przodu zaszyte są dwie zakładki, następnie układa ją się w drobne równe fałdki i wszywa w pasek tak, ażeby z tyłu na 15 cent. niedostawała. Boczne brzegi zakładaja się tak jedne na drugie, ażeby plisowanie na siebie nie zachodziło, i wszywają w paski proste, 36 cent. długie; najwyższa część powinna być od góry wszyta gładko, oprócz tego tiunika przyczepiona jest do 3 tasiemek w sposób na ryc. 7 wskazany. Podane miary muszą ulegać niejakiem zmianom zastosowanem do figury i wzrostu, uajlepiej też na osobie dopasować długość tasiemek środkowych. Z tyłu tiunika zapina się pod trenem na patki opatrzone guzikami i dziurkami.

N. 8. Ubranie z chusteczką Marie-Antoinette. Zobaczyć przód na ryc. 36. Krój chusteczki N. VII Fig. 29-A—29-C. Deseń haftu Fig. 42.

Dawny wielokrotnie powracający fason chusteczki ukazuje się i w tym roku z małemi, zręcznemi odmianami. Na ryc. 8 i 26 chusteczka Marie-Antoinette stanowi dopełnienie ubrania bardzo strojnego, albowiem przy sukni i tunice tiulowe falbany ozdobione są także aplikacyją z muślinu; haft taki jest bardzo okazały a zarazem pośpieszny bo nietylko ręcznie ściegiem łańcuszkowym, ale i w maszynie wykonać go można. Na ryc. 23 w N. 37 załączamy deseń szlaku w naturalnej wielkości a na Fig. 42 połowę haftu zdobiącego plecy i końce. Na modelu suknia z lekkiej wełnianej tkaniny koloru écru oszyta jest szerokim tiulowym wolantem.

Pod wolant podszyta jest wązka, w rurki układana falbanka, z tego co suknia materyjału, w górze zaś dodana plisa z wypustką. Tunika takim krojem jak spódnica ma węższy, odpowiedni garnirunek; ten fason łatwy i niewymuszony, można jednak zdobić i odmieniać różnorodnemi rodzajami podpięcia i przystrojenia. Na ryc. 26 tunika rozcięta jest z przodu i złączona kokardami. Formę chusteczki dla braku miejsca podaliśmy pzzeciętą dwa razy, potrzeba ją jednak złożyć podług zmniejszonego rysunku Fig. 29-A—29-C i krajać w całości.



N. 18. Wstawka szydełkowa robota, mignardise i nawijane pikoty.



N. 20. Poduszka na kanwie suknie i td. Ścieg sznureczkowy. Aplikacyja i ścieg luźny, Patrz ryc. 21 przedstawia część naturalnej wielkości.



N. 19. Wstawka. Robota szydełkowa Mignardise nawijane pikoty.

N. 9. Kwiaty włóczkowe robotą dzierganą. Gałązka liści. VI.

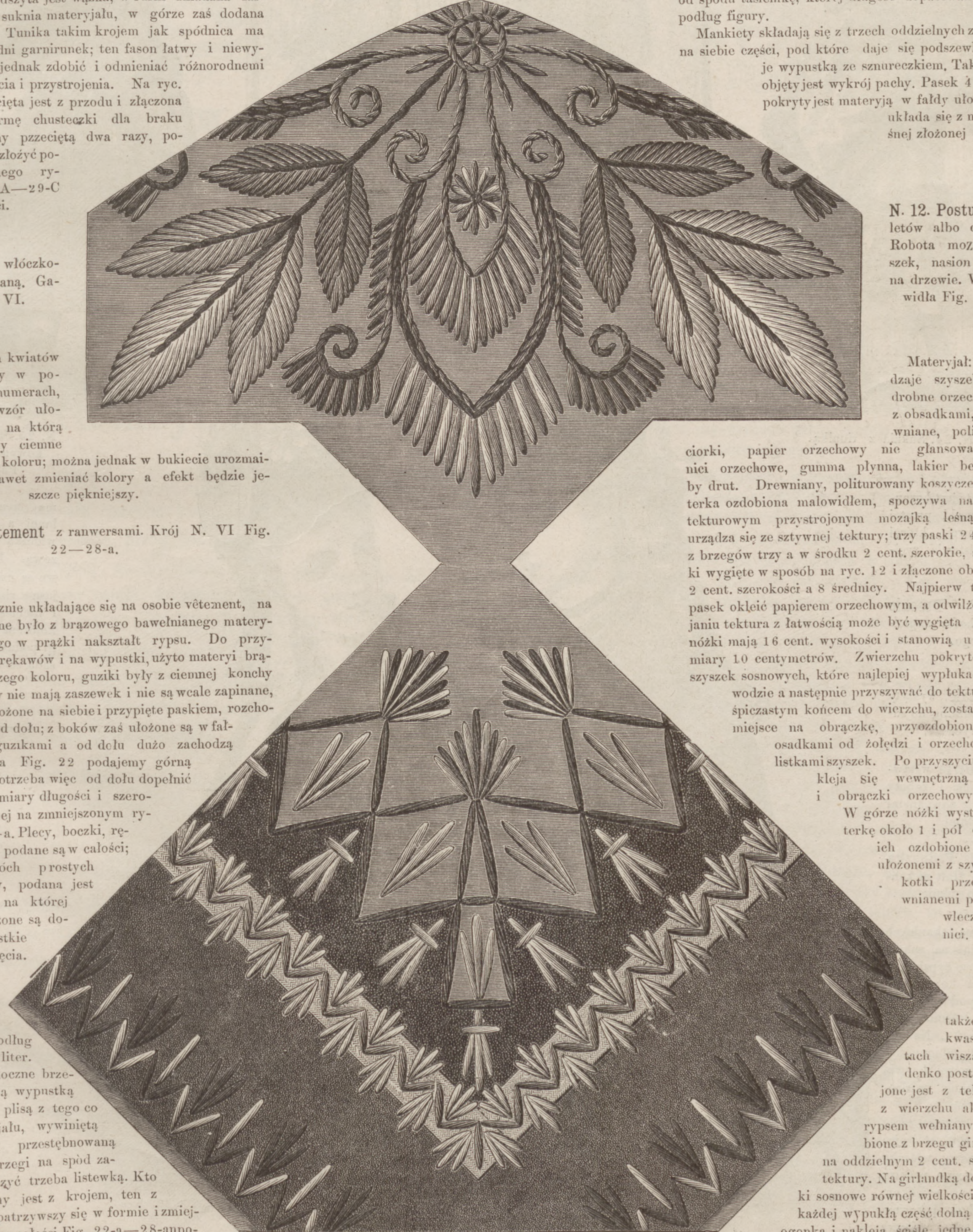
Robotę takich kwiatów i liści opisaliśmy w poprzedzających numerach, dziś załączamy wzór ułożonej gałązki; na którą użyte były trzy ciemne cienie pąsowego koloru; można jednak w bukiecie urozmaicać cienie, a nawet zmieniać kolory a efekt będzie jeszcze piękniejszy.

N. 10-11. Vêtement z ranwersami. Krój N. VI Fig. 22—28-a.

Świeże i zręcznie układające się na osobie vêtement, na modelu odrobione było z brązowego bawełnianego materyjału, wyrobionego w prążki nakształt rypsu. Do przybrania stanika, rękawów i na wypustki, użyto materyi brązowej ciemniejszego koloru, guziki były z ciemnej konchy perłowej. Przody nie mają zaszewek i nie są wcale zapinane, tylko dobrze założone na siebie i przypięte paskiem, rozchodzą się szeroko od dołu; z boków zaś ułożone są w fałdy, przepięte guzikami a od dołu dużo zachodzą na boczki. Na Fig. 22 podajemy górną część przodu, potrzeba więc od dołu dopełnić formę, podług miary długości i szerokości oznaczonej na zmniejszonym rysunku Fig. 22-a. Plecy, boczki, rękaw i ranwers, podane są w całości; miara zaś dwóch prostych tylnych brytów, podana jest na Fig. 25, na której zarazem oznaczone są dokładnie wszystkie fałdy i podpięcia. Pod plecki i przody aż do pasa, dodaje się podszewkę i zeszywa podług oznaczonych liter. Wszystkie widoczne brzegi ozdobione są wypustką z materyi i plisą z tego co sukknia materyjału, wywiniętą na wierzch i przestębnowaną dwa razy. Brzegi na spód zachodzące podszyć trzeba listewką. Kto tylko obeznany jest z krojem, ten z łatwością rozpatrzywszy się w formie i zmniejszonym rysunku całości Fig. 22-a—28-a potrafi podług oznaczonych liter i znaków, zeszyć vêtement jak należy i ułożyć wszystkie potrzebne fałdy i podpięcia. Boczne fałdy przodów niepowinny bydź zeszyte tylko odstające ułożonore i guzikami przedzielone; od dołu boczek gładko zachodzi na spód, a przod w miejscu na Fig. 22 wskazanym jest przyczepiona guzikiem. Druga strona boczka zachodzi całą długością na bryty tylne, w sposób widoczny na ryc. 11 i na zmniejszonym rysunku u góry zakłada się jedną głęboką fałdę i przyszywa do pleców.

Tylne bryty u góry fałdują się w głęboką poczwórną kontrafałdę, przy której z boków dodane są dwie pojedyncze fałdy, które zachodzą pod boczki aż do przodów; z brzegów bocznych zesyywa się jedną płaską fałdę na Fig. 25-a, oznaczoną. Nakoniec zczepia się fałdy środkowe stanowiące potrójne podpięcie brytów i fałdki w poprzecz brytów, kropkami i N. 14 oznaczone, a wpadające wprost guzików przytrzymujących boczki; pod te fałdy dodaje się od spodu tasiemkę, której długość dopasowana być musi podług figury.

Mankiety składają się z trzech oddzielnych zachodzących na siebie części, pod które daje się podszewkę i obejmuje wypustką ze sznureczkiem. Takąż wypustką objęty jest wykrój pachy. Pasek 4 cent. szeroki pokryty jest materyją w fałdy ułożoną; krezę układa się z materyi skośnej złożonej podwójnie.



N. 21. Ścieg sznureczkowy i aplikacyja na podszewkę ryc. 20.

N. 12. Postument do biletów albo do bižuteryi. Robota mozajkowa z szyszek, nasion i malowania na drzewie. Wzory malowidła Fig. 21—11-a.

Materyjał: wszelkie rodzaje szyszek i nasion, drobne orzeczy i żołędzie z obsadkami, czarne drewniane, politurowane paciorki, papier orzechowy nie glansowany, tektura, nici orzechowe, gumma płynna, lakier bezbarwny, gruby drut. Drewniany, politurowany koszyczek czyli salaterka ozdobiona malowidłem, spoczywa na postumencie tekturowym przystrojonym mozajką leśną. Postument urządza się ze sztywnej tektury; trzy paski 24 cent. długie, z brzegów trzy a w środku 2 cent. szerokie, stanowią nóżki wygięte w sposób na ryc. 12 i złączone obrączką mającą 2 cent. szerokości a 8 średnicy. Najpierw trzeba każden pasek okleić papierem orzechowym, a odwilżona przy oklejaniu tektura z łatwością może być wygięta. Po wygięciu nóżki mają 16 cent. wysokości i stanowią u dołu trójkąt miary 10 centymetrów. Zwierzchu pokryte są listkami szyszek sosnowych, które najlepiej wypłukać w miękkiej wodzie a następnie przyszywać do tektury, obracając śpiczastym końcem do wierzchu, zostawiając gładkie miejsce na obrączkę, przyozdobioną nasionkami, osadkami od żołędzi i orzechów i różnemi listkami szyszek. Po przyszyciu mozajki wykleja się wewnętrzną stronę nóżek i obrączki orzechowym papierem. W górze nóżki wystają nad salaterkę około 1 i pół cent. a końce ich ozdobione są rozetkami ułożonemi z szyszek. Olszowe kotki przedzielane drewnianemi paciorkami nawleczone na mocne nici, rozwieszone są nakształt łańcuchów w koło postumentu; z nich także ułożone są kwasty przy rozetach wiszące. Okrągłe denko postumentu wykrojone jest z tektury, oklejone z wierzchu aksamitem albo rypsem wełnianym i przyozdobione z brzegu girlandą ułożoną na oddzielnym 2 cent. szerokim pasku tektury. Na girlandkę dobiera się szyszki sosnowe równej wielkości, odkrawa od każdej wypukłą część dolną z kawałkiem ogonka i nakleja ściśle jedne koło drugich.

Jeżeli gdzie brakuje listka, to go starannie nakleić trzeba. Desen wieńca i arabeskowego szlaku odrobionego tuszem na drewnianej salaterce, znajduje się na Fig. 21—21-a.

N. 13—14. Serwetka pikowa ze szlakiem z koronki irladzkiej.

Okrągła pikowa serwetka mająca 20 cent.



N. 22—23. Marynarskie ubranie dla chłopczyka i dziewczynki. Krój (kamizelka, bluzka i majtki) w dodatku N. IV Fig. 12—18.



N. 24. Suknia z tiuniką.



N. 25. Sukienka z fartuszkowym garnirunkiem. Patrz ryc. 17.

średnicy oszyta jest koronką z tasiemeczki prostej i medalijonowej, której próbkę przedstawia rycina 13.

N. 15—16. Desenie szlaków do haftu angielskiego.

N. 17. Szlak wyszyty torsadką Frimming do sukienki ryc. 25.

N. 18—19. Dwie wstawki z Mignardisc i roboty szydełkowej, z nawijanemi pikotami.

N. 20—21. Poduszka na kanapę. Haft na kanwie albo suknie.

Zarówno na tkaninach kanwowych jak na suknie lub welnianym rypsie, odrobić można kolorowemi włóczkami poduszkę, na którą część deseniu załączamy na ryc. 21. Na modelu środek robiony był na gęstej brązowej kanwie a szlak na suknie szafirowem i pąsowem.

Brzeżna równa część szlaku ma tło szafirowe a deseń wyszyty włóczką angielską, ciemno pąsową i popielatą: na wyciętem w zęby suknie pąsowem wyszycie jest maisowe Na tasiemce jasno popielatej, welnianej. łączącej oba sukna, zęby wyszyte są włóczką niebieską a

a listki żółtą. Krata nad zębami jest czarna, środkowe długie ściegi niebieskie a pęczki nad kratą dają się naprzemian czarne z żółtemi, i czarne z pąsowemi ściegami. Gwiazdła na kanwie odrobiona, ma środek popielaty z obwódką niebieską liście haftowane są trzema cieniami włóczki zielonej a gałązki i żyłki włóczką czerwonawo-brązową. Figury arabeskowe są czarne z pąsowym, jasno zielone z paliowym i niebieskie z popielatym kolorem mięszane. Brzegi poduszki oszyte są torsadą szmuklerską.

(dok. nast.)



N. 26. Suknia z chusteczką Marie Antoinette. Patrz plecy na ryc. 8. Krój chusteczki w dodatku N. VII Fig. 29-A—29-C. Wzór na haft. Fig. 42.

N. 27. Suknia z materyjału gladkiego i w pasy.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie, 1874 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 37 i 38.

N. VI. Polonezka z ranwersem. Ryc. 10—11 w N. 38 Tygodnika.

Miara górnej objętości stanika 56 centymetrów. Materyjału 65 cent. szerokiego potrzeba 8 metrów.

Fig. 21. Przodek (A, B, C, D, E, K, L, . 1╳1—, 3╳3, jedno założenie.

Fig. 23. Połowa pleców (A, B, C, D, *)

Fig. 24. Boczna część polonezki (B, *, . 4╳4 jedno założenie formy.

Fig. 25. Model i miara kroju tylnej części polonezki, oraz Fig. 22-a—28-a przedstawiające zmniejszony rysunek całej polonezki . 5╳5—14╳14.

Fig. 26. Rękaw (E, F, G, H) •×•×•×•×•

Fig. 27. Połowa ubrania do rękawa (F, I)

Fig. 38. Ranwers (K, L)

N. VII. Chusteczka Marie Antoinette. Ryc. 8 i 26 w N. 38.

Fig. 29-A. Plecy z oznaczeniem linii przecięcia (M, N)

Fig. 29-B. Druga część z liniją przecięcia (M, N, O, P)

Fig. 29-C. Szarfy z liniją przecięcia (O, P)

Fig. 29-a—29-c. Zmniejszony rysunek całej chusteczki.

N. VIII. Kaftanik do rannego ubrania. Ryc. 13—14 w N. 37.

Fig. 30. Przodek (Q, R, U, V, W)

Fig. 31. Boczek (Q, R, S, T) •+•+•+•

Fig. 32. Połowa pleców (S, T, U, V)

Fig. 33. Rękaw (W, X, Y, Z) ↔ ↔ ↔ ↔

N. IX. Penioar. Ryc. 16—17 w N-37.

Fig. 34. Przodek (a, b, e)

Fig. 35. Połowa pleców (a, b, d)

Fig. 36. Rękaw (a, b, c)

Fig. 37. Połowa stojącego kołnierza (d, e)

Fig. 34-a—37-a Zmniejszony rysunek wszystkich części penioaru.

N. X. Sukienka z fałdami dla chłopczyka od lat 1—3. Ryc. 3—4 w N. 37.

Fig. 38. Przodek (f, g, h, i, p) jedno założenie. ○○○○○○

Fig. 39. Połowa pleców (f, g, h, i, o, . 15╳15—. 16╳16 jedno założenie formy.

Fig. 40. Rękaw (k, l, m, n) ●●●●●

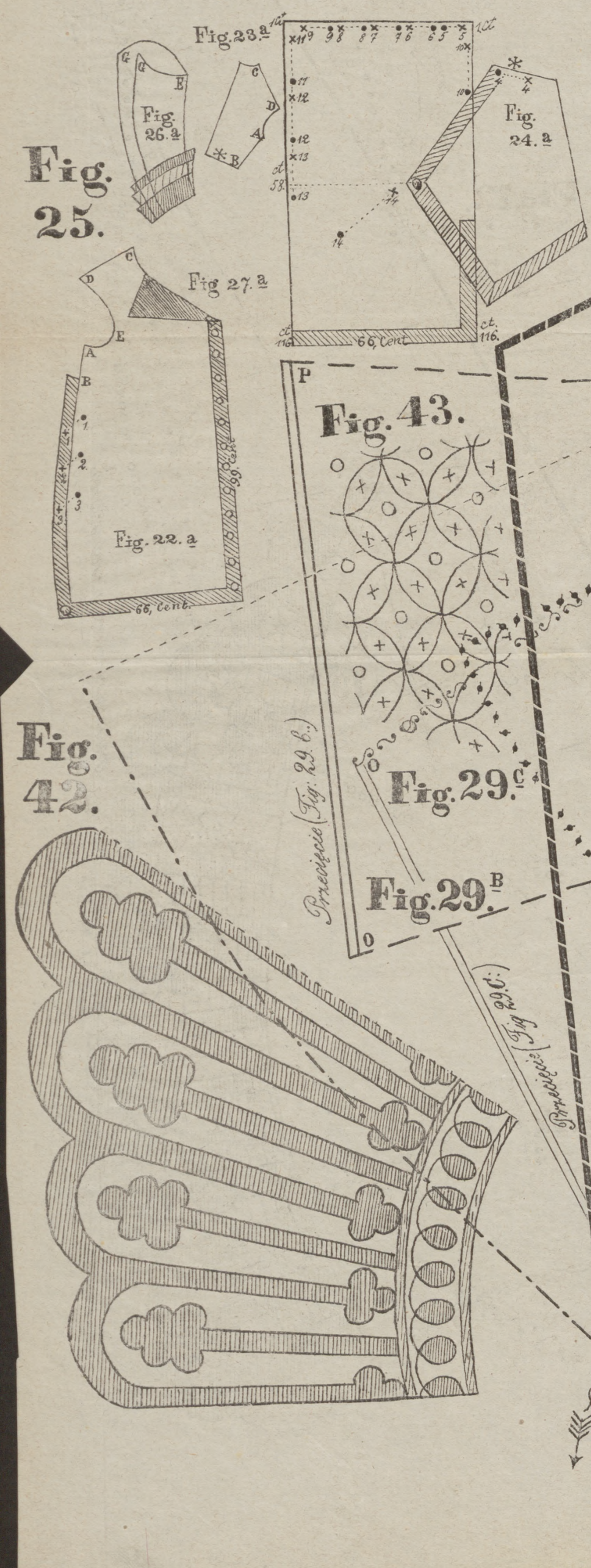
Fig. 41. Połowa kołnierza (o, p) —•—•—•—

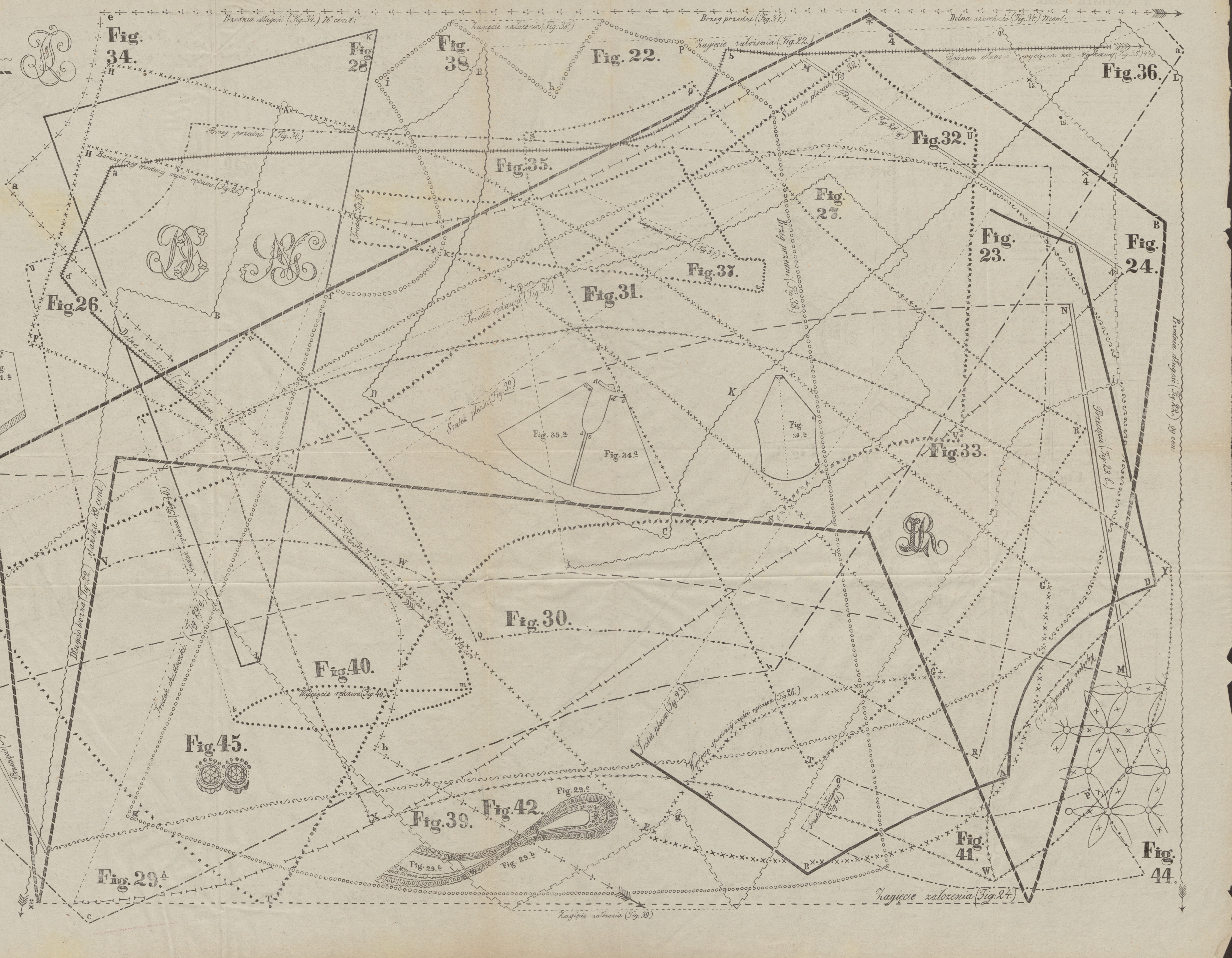
Wzory do haftu.

Fig. 42. Deseń środka pleców i końca szarfy do ryc. 8 w N. 38.

Fig. 43—44. Dwa desenie haftu angielskiego do ryc. 1—2 i 17 w N. 37 Tyg. Mód.

Fig. 45. Deseń haftu do kaftanika, ryc. 13 w N. 37.





TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1874 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 37 i 38.

N. I Dwa odmienne staniki z baskiną. Ryc. 5—6 w N. 38 Tygodnika Mód i ryc. 22 i 26 w N. 37.

Miara połowy górnej objętości stanika 50, w pasie 36 centymetrów.

Fig. 1. Przód (A, B, G, H, I) linije punkcikami oznaczone odznaczają formę do ryc. 5 i 6 w N. 38. —— —— —— ——

Fig. 2. Boczek (A, B, C, D, F) Forma do ryc. 5 i 6 oznaczona punkcikami. ～～～～

Fig. 3. Połowa pleców (długość baskiny do ryc. 5 i 6 oznaczona punkcikami) C, D, E, G, H. ▬▬▬▬

Fig. 4. Połowa baskiny (E, F,. 1╳1 —. 4╳4 ⌐⌙⌐⌙

Fig. 5. Rękaw (I, K, L, M) o o o o o o o

Fig. 6. Ubranie rękawa do ryc. 5—6. (K, M) • • • • •

N. II. Spódnica do ryc. 5 i 6 w N. 38 Tyg. Mód.

Materyjału mającego 57 cent. szerokości, potrzeba 7 metrów.

Fig. 7. Model kroju spódnicy z oznaczeniem miary długości szerokości.

Fig. 7-a. Zmniejszony rysunek spódnicy.

N. III. Vêtement z kołnierzem marynarskim, dla Panienki lat 14—16. Ryc. 24—25 w N. 37.

Miara połowy górnej objętości stanika 40, w pasie 34 cent.

Materyjału 65 cent. szerokiego, potrzeba 4 metry.

Fig. 8. Przód *vêtement* z rysunkiem zębów, (N, O, R, S, T, Y), Jedno założenie formy.

Fig. 8-b. Deseń do haftu łańcuszkiem.

Fig. 9. Boczek i plecy (N, O, P, Q, R, S, X. 5╳5 — . 6╳6. Dwa założenia formy. ∞ ∞ ∞ ∞

Fig. 10. Rękaw. (T, U, V, W). —— - —— - ——

Fig. 11. Połowa marynarskiego kołnierza i deseń wyszycia (X, Y).

Fig. 8-a—11-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części vêtement.

N. IV. Ubranie marynarskie dla chłopczyka od lat 4—6.

Ryc. 22 w N. 38 Tygodnika. Materyjału 63 cent. szer. potrzeba 2 ½ centymetra.

Fig. 12. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f) ←→ ←→ ←→

Fig. 13. Przód kamizelki (g, h, i, k) • • • • •

Fig. 14. Połowa pleców do kamizelki (g, h, i, k)

Fig. 15. Przód kurtki (l, m, n, o, r)

Fig. 16. Połowa pleców po kurtki (l, m, n, o, q) •+•+•+•

Fig. 17. Rękaw (l, p, *) ▬▬▬▬

Fig. 18. Połowa kołnierza (q, r) •—•—•—•

N. V. Kołnierzyk haftowany ze szmizetką. Ryc. 3 w N. 38.

Fig. 19. Połowa kołnierzyka (s—t)

Fig. 20. Połowa szmizetki (s—t) •—•—•—•

Wzory do malowideł na koszyczku do biletów albo do biżuteryi. Ryc. 12 w N. 38 Tygodnika.

Fig. 21. Wieniec środkowy.

Fig. 21-a Przyozdobienie brzegu.

